

Maureen Child

Duchy z przeszłości

(Strictly Lonergan's Business)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– To proste – powiedziała do siebie Kara Sloan, spoglądając na swoje odbicie w samochodowym lusterku. – Kiedy otworzy drzwi, powiesz: odchodzę.

Jasne.

Ale gdyby to było takie łatwe, zrobiłaby to już sześć miesięcy temu albo przed rokiem, kiedy zdała sobie sprawę, że zakochała się w swoim pracodawcy.

Problem w tym, że przy Cooperze Lonerganie przestawała myśleć, a władzę przejmowały emocje. Wystarczyło jedno spojrzenie ciemnobrązowych oczu, a miękkły pod nią kolana.

Nadal nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło. Absolutnie tego nie planowała. Była jego asystentką od pięciu lat. Przez pierwsze cztery nic się nie wydarzyło, wszystko doskonale się układało. Łączyła ich przyjaźń i dobre stosunki służbowe. Aż tu niespodziewanie rok temu uświadomiła sobie, że jest w nim zakochana. Od tej chwili czuła się podle i była nieszczęśliwa.

Nie mogła być zła na Coopera, że nie zauważył zmiany w jej uczuciach. Zresztą dlaczego miałby zauważyć? Dla niego była jedynie wygodnym i oczywistym elementem otoczenia jak stojąca w salonie czarna skórzana sofa.

Sama była sobie winna. Bez jego wiedzy zmieniała zasady. Kochała go, a on ją tylko lubił.

Sytuacja była beznadziejna.

– Dlatego musisz odejść – powiedziała stanowczo, patrząc w swoje duże zielone oczy w lusterku wypożyczonego auta. – Zmierz się z problemem, stań przed Lonerganem i po prostu mu to powiedz.

Wciągnęła ciężko powietrze i westchnęła. Potrafię to zrobić i zrobię!

Mamrocząc pod nosem, wysiadła z samochodu, zatrzasnęła drzwiczki i ruszyła w kierunku dużego domu w stylu wiktoriańskim, z żółtą fasadą, który Cooper wynajął na lato. Budynek wydał jej się przytulny i gościnnie, jakby na nią czekał. Niespodziewanie zrobiło jej się przykro, że za dwa tygodnie będzie musiała wrócić do Nowego Jorku. Tu, w tym miejscu, było coś fascynującego.

Dom usytuowany był w znacznej odległości od ulicy, pośrodku rozległego, wypielęgowanego trawnika. Otaczały go stare, cieniste drzewa. W szybach odbijały się promienie porannego słońca. Wzdłuż werandy stały gliniane donice pełne kwiatów, mieniących się w ciepłym świetle feerią barw. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy i delikatna woń oddalonego o kilka kilometrów oceanu. Kara zawsze uważała się za mieszczucha. Była szczęśliwa na Manhattanie. Uwielbiała tamtejszy pośpiech i uliczny dok, symfonię klaksonów stojących w korkach aut, obelżywe okrzyki taksówkarzy, którzy każdy przejechany kilometr traktowali jak osobiste zwycięstwo.

Musiała jednak przyznać, że to miejsce było urokliwe. Cisza, spokój, przepych soczystych kolorów.

Nie ma sensu się przyzwyczajać, pomyślała.

Zachwiała się na wysokich szpilkach, które zapadały się w zwirową nawierzchnię

podjazdu. I to miało być odpowiednie obuwie... Od roku przebywanie w towarzystwie Coopera kompletnie ją rozstrajało. Gdyby miała odrobinę rozsądku, włożyłaby na podróż dzinsy i tenisówki. Ale nie, ona wolała pięknie wyglądać, gdy się spotkają. Żeby przynajmniej choć raz dostrzegł jej starania...

Zgrzytając zębami, przyznała, że pisarz nie zauważyłby, nawet gdyby stanęła przed nim naga. Właśnie dlatego powinna natychmiast rzucić tę pracę. Co nie było jednak takie proste. Okropnie jest być zakochanym w mężczyźnie, który widzi w tobie tylko kompetentną asystentkę.

– Sama się tak urządziłam – westchnęła, obchodząc samochód. Nacisnęła autopilota i bagażnik otworzył się wolno jak wieko trumny w starych filmach o Drakuli.

Dobrze im się razem pracowało. Często się śmiali. Kara odczuwała ogromną satysfakcję. Była tak dobra w tym, co robiła, że Cooper nie potrafił się już bez niej obejść. Niestety wszystko popsuła, nie trzymając się zasad.

Sama nie wiedziała, kiedy przestała patrzeć na Coopera jak na pracodawcę i zaczęła mieć na jego temat fantazje dozwolone od osiemnastego roku życia. Pisarz mylił się co do niej i jej profesjonalizmu. Bez trudu pokonał jej mur obronny i nieświadomie rozkochał ją w sobie, nawet tego nie zauważając.

Tym bardziej powinna odejść. Uciec od niego, zanim będzie za późno. Jak to ujęła zeszłego wieczoru jej przyjaciółka Gina: „Zwiewaj od niego, gdzie pieprz rośnie, póki jeszcze masz siłę”.

Gina zabrała Karę na drinka, żeby udzielić przyjaciółce wsparcia i dodać odwagi.

– Doskonale wiesz, że ten facet nigdy się nie zmieni – przekonywała.

– Masz rację – przyznała Kara, wkluwając wykałaczkę w pływającą w kieliszku martini oliwkę, jakby była kosmitą dążącym do przejęcia władzy nad ziemianami. – Dla niego wszystko jest w najlepszym porządku. Wspaniale!

– Do tego zmierzam. – Gina zamrużyła powiekami i gestem dłoni przywołała barmana. – Od kiedy jest w Kalifornii? Od trzech dni?

– Tak.

– I już dzwonił do ciebie ze sto razy.

To prawda. Zawsze miała włączony telefon komórkowy, żeby Cooper w każdej chwili mógł się z nią skontaktować. Co też wykorzystywał, wydzwaniając z zadziwiającą regularnością. Ostatni telefon odebrała dwadzieścia minut temu.

– Pracuję dla niego.

– Jasne, tylko że on przekracza wszelkie granice – stwierdziła Gina, nachylając się nad barem. Jej jasne włosy opadły na blat. – Ostatnio dzwonił zapytać, jak zrobić kawę. Ma trzydzieści kilka lat i nie potrafi zaparzyć sobie filiżanki kawy bez twojej pomocy?

– Dokładnie trzydzieści jeden i oczywiście potrafi – zaśmiała się Kara. – Jest po prostu nieznośny.

Gina wcale nie czuła się rozbawiona. Kręcąc głową z dezaprobatą, wyprostowała się.

– Możesz mieć pretensje tylko do siebie. Doprowadziłaś do tego, że jesteś mu niezębna.

– Uważasz, że to źle? – Kara sięgnęła po drinka, szukając w kieliszku nowej oliwki.

– Lonergan postrzega cię jako doskonale zaprogramowanego robota. – Giną przełknęła tyk appletini i zakręciła kieliszkiem w powietrzu. – On nie widzi w tobie kobiety i nigdy nie zauważy.

– To przykre, co mówisz.

– Ale prawdziwe.

– Być może.

– I co z tym zamierzasz zrobić? Trzymać się go, aż się zestarzejesz i zadasz sobie pytanie, co się stało z twoim życiem? Dlaczego nie odejdziesz teraz, póki jeszcze możesz?

To pytanie za tysiąc punktów, pomyślała Kara, wyciągając z bagażnika rzeczy. Giną miała rację. Do licha! Od roku знаła tę gorzką prawdę, ale łudziła się. Nie było dla niej przyszłości z Cooperem. Bynajmniej nie czekało jej nic więcej poza tym, co miała teraz. A to jej nie wystarczało.

Rzeński powiew chłodnego wiatru znad oceanu wprowadził w taniec leżące na trawniku liście i potargał ciemnobrązowe włosy Kary, które zasłoniły jej oczy. Odgarnęła je do tyłu, westchnęła głęboko, wzięła dwie walizki, siatkę ze świeżymi bajglami, słoiczkiem wymienitej kawy; bez której Lonergan nie potrafił pisać, oraz pięć opakowań ciasteczek z pianką. Miał upodobania nastolatka. Uśmiechnęła się pod nosem. To było urocze. Zawsze musiał mieć pod ręką ulubione łakocie. Nie, przeciwnie, to jest irytujące, poprawiła się natychmiast w myślach.

Obiecała sobie, że z marszu wręczy Coopefowi wymówienie z dwutygodniowym terminem wypowiedzenia. Oczywiście znajdzie mu tymczasowe zastępstwo na okres wakacji, które pisarz spędza tu w Kalifornii. Potem, kiedy wróci na Manhattan, sam poszuka sobie kogoś na stałe.

A ona im szybciej wyjedzie do Nowego Jorku i zacznie odzyskiwać swoje życie, tym lepiej.

Zdeterminowana ruszyła podjazdem do frontowego wejścia wielkiego domu. Chwiejąc się na szpilkach, powtarzała sobie w myślach: To tylko praca. Znajdziesz lepszą. Nie potrzebujesz Coopera. Gdy była już prawie przekonana co do słuszności swojej decyzji, niespodziewanie otworzyły się drzwi i na ganek wyszedł Lonergafi. Wysoki i szczupły, ubrany w swój charakterystyczny nowojorski strój, czyli czarną koszulę i czarne spodnie. Miał ostre rysy i nieco kanciastą twarz. Czarne włosy opadające na ramiona tworzyły wokół twarzy coś na kształt ciemnej aureoli. W jego ciemnych oczach odbijały się promienie słońca. Kiedy się uśmiechnął, Kara poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Jego widok wywarł na niej większe wrażenie, niż się spodziewała. Wszystko przez ten cudowny uśmiech, który nieczęsto gościł na jego ustach. Jednak kiedy się pojawiał... przyprawiał ją o zawrót głowy. Do licha!

– Kara! – zawołał entuzjastycznie, schodząc ze schodów długimi krokami. Zatrzymała się, spiorunowana siłą obezwładniających ją uczuć. Cooper przycisnął ją na powitanie mocno do siebie, rozpalając jak stuwatową żarówkę, po czym nagle wypuścił z ramion. O mało nie straciła równowagi.

– Dobrze, że już jesteś.

W sercu zaświtała jej nikła nadzieja.

– Tęskniłeś za mną?

– Nawet nie wiesz jak! Zrobiłem sobie rano kawę z cynamonem i smakowała jak bagnista breja.

No tak. Złudzenia prysły. Witaj, prozo życia, pomyślała. Oczywiście, że za nią nie tęsknił. Brakowało mu komfortu, który mu zapewniała. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

– Powiedz, że przywiozłaś prawdziwą kawę i moje ulubione ciasteczka.

Westchnęła głęboko, akceptując prawdę.

– Tak, mój wyrośnięty nad wiek czterolatku. Mam i jedno, i drugie.

– Wspaniale – wykrzyknął, ignorując zarówno jej drwiny, jak i ją samą. Wziął od niej jedną walizkę i ruszył do domu. – A odebrałaś rzeczy z pralni?

– Są w bagażniku.

– A bajgle? Pamiętałaś?

Pokiwała głową i przyspieszyła kroku, doganiając go. Wystarczyło kilka sekund, a już wpadła w stary schemat. Co się stało z deklaracjami? Tak szybko straciła siłę woli? Dlaczego nie spojrzała w te jego czekoladowe oczy i nie oświadczyła, że odchodzi? Wciągnęła głęboko powietrze i o mało nie jęknęła.

Tak wspaniale, smakowicie pachniał.

– Oczywiście – mruknęła zde gustowana jego i własnym zachowaniem. – Czy przez ostatnie pięć lat kiedykolwiek o czymkolwiek zapomniałam?

– Nigdy – potwierdził, mrugając do niej okiem. Pod Karą zmiękły kolana, mimo że coraz bardziej umacniała się w swoim postanowieniu. – To dlatego nie potrafię bez ciebie żyć.

Słowa wypowiedziane tak łatwo i lekko. Nic dla niego nie znaczyły. Dla niej, gdyby były szczerze, byłyby spełnieniem pragnień.

Cooper otworzył drzwi i przepuścił ją pierwszą. Weszła, stukając głośno obcasami o wiekową drewnianą posadzkę. Odrzuciła długie ciemnobrązowe włosy na ramiona i rozejrzała się ciekawie po domu.

Biegając za jej wzrokiem, po raz pierwszy od przyjazdu zauważył szczegóły wystroju wnętrza. Był tu od trzech dni, ale większość czasu spędził w sypialni, pracując.

Lub raczej starając się pracować. W rzeczywistości rozegrał tysiąc partii Solitera, co oczywiście nie pomoże mu w dotrzymaniu zbliżającego się nieuchronnie terminu oddania książki.

– Piękny dom – zauważyła Kara, przyglądając się wspaniałemu mosiężnemu żyrandolowi wiszącemu w salonie.

Cooper rozejrzał się wokół. Nic szczególnego. Tapicerowane fotele w wyblakłym różanym kolorze, pleciony dywan zakrywający większość drewnianej zniszczonej podłogi, jasnożółte ściany rozświetlające i rozweselające pomieszczenie. Widać było, że agencja nieruchomości, od której wynajął ten dom, dbała o utrzymanie budynku w dobrym stanie.

– Ludzie mówią, że to miejsce jest nawiedzone.

Kara odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego z zaciekawieniem, otwierając szeroko

zielone oczy.

– Tak?

– Kiedy byłem dzieckiem, spędzałem w Coleville z dziadkiem i kuzynami każde wakacje.

Niespodziewanie naszły go wspomnienia i poczuł dławienie w gardle od kłębiących się emocji. Odepchnął je od siebie, celowo zamykając się przed miotającymi się w sercu uczuciami.

– Przyjeżdżaliśmy tu w nocy na rowerach, obserwowaliśmy dom i opowiadaliśmy sobie straszne historie, czekając na pojawienie się ducha. Oczywiście niczego nie zobaczyliśmy – uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Może teraz przez te kilka dni coś zauważyłeś?

– Nic a nic.

– Szkoda – oświadczyła zawiedziona.

Coopera rozbawiło wyczuwalne w jej głosie rozczarowanie. Niezależnie od wszystkiego zawsze mógł liczyć na to, że Kara zainteresuje się dokładnie tym samym co on. Jako autorowi powieści grozy, spodobał mu się bardzo pomysł wynajęcia na lato nawiedzonego domu, który tak bardzo go fascynował i niepokoił, gdy był dzieckiem. Powinien jednak wiedzieć, że jedyne duchy, których mógł się tu spodziewać, były zjawami z jego przeszłości. Instynktownie odrzucił tę myśl. Nie zamierzał wracać do tamtych wydarzeń.

– Tylko kilka kilometrów dzieli to miejsce od posiadłości dziadka, dlatego uznałem, że będzie mi tu wygodnie.

– No właśnie. A jak on się czuje?

– O dziwo, doskonale, ale to dłuższa historia.

– Ale lekarz twierdził, że jest umierający?

– Mówiłem ci, to zawiła sprawa – mruknął, nie chcąc wdawać się teraz w szczegóły. – Najpierw wytłumacz się, dlaczego przyjechałaś dopiero dzisiaj. Miałaś być wczoraj.

– Przecież już mówiłam. Trzy dni zabrało mi pozamykanie wszystkich spraw i załatwienie opieki do twojego mieszkania.

– Dobrze, że się wszystkim zajęłaś, ale to były dla mnie bardzo długie trzy dni. Jesteś najlepszą asystentką pod słońcem. Dostałaś ostatnio podwyżkę?

– Nie – burknęła z wyrzutem.

– Dopisz to do listy – rozkazał, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Najważniejsze, że już jesteś.

Kara uśmiechnęła się i Cooper dodał:

– Przy tobie nareszcie będę mógł zacząć pracować. Od wyjazdu z domu nie jadłem porządnego posiłku.

Uśmiech zniknął z jej twarzy jak za dotknięciem różdżki.

– Sklep spożywczy w Coleville nie dostarcza zakupów do domu, będziesz więc musiała pojechać do miasteczka, żeby zrobić zapasy. – Wyjął jej z rąk walizkę i oddalił się w kierunku schodów. – Zaniosę twój bagaż. Zamieszkaś w pokoju z pięknym widokiem na pola. Moja sypialnia jest po przeciwnej stronie korytarza. Łazienką będziemy się musieli podzielić, ale myślę, że sobie z tym poradzimy. Zrobisz harmonogram i...

– Cooper!

Przerwał, spojrzał na nią i posłał jej jeden ze swoich rzadkich, szczerych uśmiechów.

– Naprawdę się cieszę, że przyjechałaś. Nie ma sprawy. Wiem, co chcesz powiedzieć.

– Czyżby?

– Oczywiście. Czujesz to samo i cieszysz się, że wszystko wróciło do normy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kilka godzin później Kara wróciła do domu z zakupów, wstawiła kurczaka do piekarnika i nawet zdążyła zamówić faks, który mieli przywieźć następnego dnia rano.

Cooper pracował na górze, a ona, krzątając się po kuchni, zastanawiała się, co się stało z jej doskonałym planem. Przysiadła na zniszczonym blacie kuchennym i skrzyżowała ręce na piersi. Miała na sobie ulubione, znoszone, wypłowiałe džinsy, błękitny podkoszulek i tenisówki.

– Jesteś beznadziejna – skarciła się głośno. – Zachowujesz się jak tresowany piesek. Nie masz kręgosłupa. Przynosisz wstyd swojemu zawodowi.

Późnym przedpołudniem przez przysłonięte firankami okna wślizgnęły się do wnętrza domu jasne promienie słońca, tworząc na okrągłym stole i błyszczącej drewnianej podłodze koronkowe wzory. Powiał lekki wiatr, wprawiając cienie w leniwy taniec.

Kara przeszła przez kuchnię, wysunęła zza stołu krzesło i usiadła. Oparła się łokciami o blat i wyjrzała przez szparę pomiędzy firankami na trawnik ciągnący się aż do zieleniącego się w oddali dzikiego pola. Westchnęła głośno z niechęcią. Czuliła odrazę nie tyle do Coopera, ile do siebie.

„Wszystko wróciło do normy” – zadzwieczało jej w głowie. Ze złością podniosła się i uderzyła pięściami w stół, wywołując głuchy łomot przypominający bicie serca. To nie jego wina, że dobrze się czuje w dotychczasowym układzie. Wiedziałaś, że tak będzie. Dlaczego w takim razie nie dałaś mu wymówienia? – warknęła.

Odpowiedź na to pytanie doskonale знаła. Wystarczyło, że ujrzała Coopera, a natychmiast straciła głowę. Logicznie myślący, rozsądny umysł opanowywały emocje, wiodąc ją w krainę fantazji.

W wyobraźni miała wszystko idealnie zaplanowane. Nawet dialogi. Musi podjąć jeszcze jedną próbę. Wejdzie do jego pokoju, wpadające przez okna promienie słońca oślepią ją, a wtedy...

Cooper podniesie na nią oczy. Ich spojrzenia spotkają się. I przez jedną krótką, zapierającą dech w piersiach chwilę oboje zatracą się w niespodziewanie rozkwitłej między nimi wszechogarniającej miłości.

On podeszł do niej, ujmie jej twarz w dłonie i powie:

– Byłem głupcem, że tak długo nie potrafiłem cię dostrzec. Wybaczysz mi?

Ona uśmiechnie się, weźmie go za ręce i wyszepta:

– Nie muszę ci niczego wybaczać. Wystarczy, że nareszcie jesteśmy razem. Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odpowie Cooper, po czym namiętnie ją pocałuje.

No tak, burknęła, wynurzając się z krainy marzeń jak tonący nurek na powierzchnię wody, by zaczerpnąć haust powietrza. Chyba jestem kompletną idiotką.

Niewątpliwie. Beznadziejną marzycielką, zakochaną w mężczyźnie, który mnie nie zauważa i nie dostrzeże, aż będzie za późno.

Niespodziewanie kuchnię przeszły głębokie westchnienie.

Kara podskoczyła na krześle, rozejrzała się wokół, szukając na próżno źródła dźwięku. Nikogo nie było. Spięta, wyprostowała się, w oczekiwaniu, że odgłos się powtórzy. Wokół panowała grobowa cisza. Siedziała sama w wypełnionej promieniami słońca kuchni. Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz.

Duch?

Cooper wspominał, że dom jest nawiedzony, ale niczego dziwnego dotąd nie zauważył.

– To wyobraźnia – wyszeptła, wstając cicho i powoli. Zaśmiała się lekko, udając przed samą sobą, że nie drży jej głos. Z trudem przełknęła ślinę i obejmując się rękoma, roztarta dłońmi ramiona, jakby chciała rozproszyć ogarniające ją uczucie zdenerwowania.

W końcu uznała, że przesłyszenia są wynikiem nadmiernego fantazjowania, i zabrała się za gotowanie obiadu.

Cooper spędził cały dzień z demonem mordercą. Zręczne palce jak szalone uderzały w klawiaturę, z trudem doganiając tworzone w wyobraźni obrazy. Słowa same układały się w historię. Pisarz dobrze wiedział, co czytelnik powinien odczuwać. Zdziwiło go, że był to pierwszy kawałek dobrej fikcji, który udało mu się napisać od przyjazdu do Kalifornii. Był z siebie zadowolony. Wspaniale było zatopić się w świecie fantazji, powoływać do życia nowe postaci i patrzeć na ekran monitora, na którym nabierają kształtu i charakteru. Nareszcie choć na moment udało mu się pozbyć dławiących go od trzech dni wspomnień.

Gruby dywan śniegu zakrył ścieżkę prowadzącą do drzwi starego hotelu, ale David nawet tego nie zauważył. Przeszywający mróz wnikał głęboko w jego kości i w duszę. W żołądku coraz mocniej zaciskał mu się węzeł strachu. Skulił się, chroniąc się przed uderzeniami lodowatego wiatru. Szedł, powłócząc nogami, niechętnie, wiedziony wewnętrznym przeczuciem, że powinien trzymać się od tego miejsca z daleka...

Cooper przerwał pisanie i odchylił się na oparcie krzesła. Wiedział, co przeżywał bohater jego powieści, gdyż sam znalazł się w podobnej sytuacji. Nie chciał przyjeżdżać do Coleville. Intuicja podpowiadała mu, że powinien natychmiast jak najdalej stąd uciekać. Został tu jednak uwięziony na całe lato. Dał słowo dziadkowi, a Lonerganowie zawsze dotrzymują obietnic, nawet jeśli zostały wymuszone podstępem. Przebiegły staruszek oszukał bowiem swoich wnuków, że leży na łożu śmierci.

Cooper nie był na niego zły. Przeciwnie, ucieszył się, że Jeremiaś jest zdrowy i że dopisuje mu humor. Nie był w Coleville od piętnastu lat i gdyby dziadek nie użył podstępu, zapewne nigdy by tu nie wrócił.

Powrót w rodzinne strony był dla niego ciężkim przeżyciem. Zbyt wiele było wspomnień rojących się w jego umyśle jak dokuczliwe stado komarów, których nie da się ignorować.

Na monitorze włączył się wygaszacz ekranu: nawiedzony dom pełen nietoperzy, duchów i wampirów. Zazwyczaj obrazek ten był wystarczająco motywujący, aby zachęcić go do dalszego zagłębiania się w opowiadaną historię i pisanie. Dziś jednak animowany filmik nie przykuł jego uwagi.

Z dołu dobiegało stukanie garnków i patelni. W starych rurach słycać było płynącą wodę. W powietrzu unosił się smakowity zapach. Lonergan pociągnął nosem, delektując się aromatem czosnku i szaławii. Nade wszystko cieszyła go obecność krzątającej się na dole Kary.

Dobrze było mieć ją przy sobie. I to nie tylko z powodu jej umiejętności kulinarnych. Od jej przyjazdu Cooper nie czuł się już w Coleville samotnie. Jego rodzina mieszkała zaledwie kilka kilometrów stąd, mimo to nie odstępowало go poczucie pustki.

Zazwyczaj lubił być sam. W Nowym Jorku pracował przez całe dnie, unikając telefonów, emaili i wizyt. Kara chroniła go przed światem, zapewniając mu spokój i potrzebny na pisanie czas. Kiedy miał ochotę się rozerwać, tuż za progiem czekało na niego miasto pełne różnorodnych atrakcji oraz setek kobiet, do których zawsze mógł zadzwonić.

W Coleville panował zupełny spokój. Nikt się nie śpieszył i nigdzie nie pędził. Nie trąbiły klaksony stojących w korkach aut, nie docierał gwar ulicy. Nie było słycać syren policyjnych i nie widywało się ulicznych handlarzy narkotyków. Cisza i nadmiar czasu na myślenie.

Lonergan odsunął się z krzesłem od biurka, wstał i podszedł do okna wychodzącego na frontowe podwórze. Nie dostrzegł jednak przez nie zadbanego ogrodu, starych cienistych drzew ani zielonych pól rozciągających się po obu stronach drogi wiodącej na ranczo dziadka.

Od trzech dni oczami wyobraźni widział jezioro. Było ono oddalone od posesji o kilka kilometrów i w żadnym wypadku nie można go było stąd dostrzec. Wynajmując ten dom, sądził, że taka odległość wystarczy. Jeśli nie będzie musiał patrzeć na wodę, łatwiej zniesie pobyt w Coleville.

Powinien był lepiej przewidzieć swoje reakcje.

Mieszkał na Manhattanie od kilkunastu lat i codziennie w nocy śniło mu się jezioro. Każdego dnia, kiedy siadał do pisania powieści grozy, które przyniosły mu sławę i pieniądze, widział to samo jezioro. W jego umyśle wciąż odżywały zdarzenia, do których doszło podczas wakacji piętnaście lat temu i które do dziś były dla niego żywym koszmarem.

Gdyby zamknął teraz oczy, ujrzałby przewijające się jak w kalejdoskopie sceny. Poczulby na ramionach prażące słońce. Usłyszałby śmiech kuzynów, szum wiatru w drzewach, plusk wody. Zobaczyłby krewnych urządzających zawody w skokach do lodowatej wody. I przeżyłby paraliżujący szok wywołany wypadkiem.

Nie zamknął więc oczu, ale wspomnienia mimo tego nadal krążyły gdzieś na obrzeżach jego podświadomości, drwiąc sobie z niego i nieustannie powracając. Przeczesał dłonią włosy i przetarł oczy, jakby chciał wymazać obrazy, które wydawały się wypalone na siatkówce.

– Hej! – usłyszał damski głos.

Zaskoczony odwrócił się i ujrzał stojącą w otwartych drzwiach Karę. Serce waliło mu jak młotem. Potrząsnął karcąco głową i spojrzał na nią gniewnie.

– Chcesz mnie przyprawić o atak serca?

– Nie miałam tego w planie na dziś – odparła pogodnie i wkroczyła do pokoju, ciekawie mu się przyglądając.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się. Nie, przebiegło mu przez myśli.

– Oczywiście. Skąd to pytanie? – najeżył się. Odwrócił się do niej plecami i ruszył szybkim krokiem do laptopa. Nigdy nie zostawiał podniesionego monitora, gdy ktoś był w pobliżu. Nie był przesądny, bynajmniej. Po prostu nie lubił, kiedy ktoś podglądał, co pisze.

– Ponieważ wołałam cię trzy razy, a ty się nie odzywałeś.

– Myślałem – odparł, co było zgodne z prawdą.

– Masz trudności z nową książką?

– Tak. – Przesunął palcami po szarej pokrywie laptopa, jakby głaszcząc ukryte w środku słowa. – To znaczy, miałem, do dziś. – Posłał jej wymuszony uśmiech i spoglądając na nią, dodał: – Przywiozłaś mi szczęście.

– No, no. – Przeszła przez pokój, rozsunęła zasłony i otworzyła okno. Chłodna, ostra bryza wpadła z impetem do środka, jakby czaiła się na zewnątrz, aż ktoś ją wpuści. – Mam przez to rozumieć, że wcześniej nie pracowałeś, ponieważ mnie tu nie było?

– Właśnie tak – przytaknął Cooper, przyglądając się, jak chodzi po pokoju, sprawnie uprzątając bałagan. Złożyła starą narzutę leżącą u stóp łóżka, wyprostowała wiszący na ścianie pejzaż, ułożyła porozrzucane na biurku papiery na równe stosiki.

Widok ten uspokoił go. Do licha, jej obecność mu służyła. Tak było od początku. Jej spokojny głos, stonowany charakter, zimna logika, mądry sposób patrzenia na świat – to wszystko pozwalało mu wygodnie funkcjonować.

– Wnoszę z tego – powiedziała, spoglądając na niego z błyskiem w oku – że znów uśmierciłeś mnie w straszliwy sposób.

Zadrżały mu kąciki ust i na twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Kara знаła go lepiej niż ktokolwiek na świecie. Bycie pisarzem dawało mu ten przywilej, że w powieści zawsze mógł zamordować każdego, kto go drażnił lub irytował.

Cooper, choć niechętnie, musiał przyznać, że bez Kary u boku był kompletnie zagubiony. Stąd w jego powieściach pojawiał się często motyw zabójstwa sekretarki lub asystentki. Było to swoiste katharsis pisarza uzależnionego od asystentki.

– Jak umieram tym razem? – rzuciła, opierając ręce na biodrach. – Tonę?

– Już ci mówiłem – odparł surowo, czując, że sztywnieje na całym ciele. – Nigdy się nie utopisz.

– No dobrze – mruknęła, podnosząc ręce do góry, jakby się poddawała. – Tylko pytałam.

– Przepraszam. – Siłą woli opanował wewnętrzne drżenie.

W każdej jego powieści przynajmniej jeden z bohaterów tonął. Zawsze był to ktoś, kogo Cooper nie lubił, i ktoś, kto nie mógł się stać zbyt bliski czytelnikom. Zważywszy na bagaż wspomnień i piętno, jakie odcisnęły na nim wydarzenia sprzed lat, śmierć przez utonięcie była dla Coopera czymś wyjątkowo poruszającym.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Nie – zapewnił, kręcąc przecząco głową. – Wszystko w porządku. Przyszłaś tu w jakimś konkretnym celu?

– Obiad gotowy.

Cooper wyjrzał za okno. Powoli zaczynało zachodzić słońce.

– Tak wcześnie? – zdziwił się, odwracając się twarzą do asystentki.

– Jestem okropnie głodna i zamierzam coś zjeść – wyjaśniła, wzruszając ramionami i kierując się do drzwi. – Jeśli wolisz, możesz jeszcze poczekać.

– Nie – burknął, rozglądając się po pokoju, który bez niej wydał mu się nagle pusty. – Będę ci towarzyszył.

– Świetnie. W takim razie otwórz butelkę chardonnay, którą kupiłam w sklepie w miasteczku.

– Mm, kalifornijskie chardonnay ze sklepu Ala w Coleville. Nie mogę się doczekać! – zawołał uradowany, wędrując za nią na dół.

– Snob.

– Plebejka.

Żartując, weszli razem do kuchni. Kara usiadła przy stole, przyglądając się, jak Lonergan bierze butelkę wina i otwieracz. Już dawno wypracowali sobie rodzinny schemat koegzystencji. Oboje czuli się w nim dobrze. Aż za dobrze. Wszystko było na właściwym miejscu.

Pomyślała, że będzie za tym tęsknić, kiedy odejdzie. A musi to zrobić. Było to coraz bardziej oczywiste. Zbyt swobodnie się ze sobą czuli.

Cooper usiadł i wyciągając przed siebie długie nogi, niechętny ją trącił. Karę zalała fala ciepła, jakby w jej wnętrzu niespodziewanie wybuchł wulkan. Z trudem powstrzymała się, żeby nie jęknąć.

Oczywiście Cooper niczego nie zauważył.

Kiedy wlewał słomkowego koloru wino do wiekowych różowych kieliszków, które znalazła w kredensie, zaczęła się uważnie rozglądać po starej, przytulnie urządzonej kuchni. Szafki były pomalowane na biało. Wszystkie urządzenia kuchenne wyglądały, jakby pochodziły z lat pięćdziesiątych. Okna wychodziły na ogromny ogród porośnięty starodrzewem.

Powinna tu panować atmosfera spokoju i ciepła. Zamiast tego unosiło się w powietrzu jakieś nieokreślone napięcie, panował nastrój dziwnego zawieszenia. Szept, który Kara słyszała wczesnym popołudniem, więcej się nie powtórzył, więc uznała, że zwyczajnie się przesłyszała.

– Pięknie pachnie – stwierdził Cooper, nakładając sobie kurczaka, ziemniaki i brokuły.

– Wiesz, że sam mogłeś poszukać sklepu? – zauważyła, upijając łyk chłodnego, cierpkiego wina.

– I zrobiłem to – odpowiedział, sięgając po kromkę chleba do stojącego na środku stołu talerza. – Kupiłem kawę i kilka pudełek pączków. A, i zapas mrożonych burritos – dodał.

– Żałosne – stwierdziła. Ale na swój sposób urocze, dodała w myślach. Chyba jestem kompletnie pokręcona.

– Mierzmy siły na zamiary – odparował, biorąc do ust kolejny kęs kurczaka. Przymknął oczy i zamruczał z zadowoleniem. Widać było, że czuje się jak w niebie. – W domu, w Nowym Jorku, zawsze mogę zamówić coś dobrego w restauracji. Tutejszy fast-food nie oferuje dostaw do klienta. – Przełknął kolejną porcję. – Moja droga, jestem teraz twoim wielkim dłużnikiem.

Nie chciała, żeby był jej coś winien. Pragnęła, żeby ją kochał. Było to jednak tak mało realne jak schudnięcie przez noc o pięć kilo lub znalezienie rano w garderobie sterty nowych ubrań z najdroższych butików.

Na dworze zaczęło zmierzchać, niebo pociemniało. W domu zapanowała miła, niekrępująca cisza. Kara zaczęła rozmyślać. Po odejściu stąd będzie mogła zacząć wszystko od nowa i nareszcie zatroszczyć się o przyszłość.

Spojrzała na Lonergana i zrobiło jej się smutno. Poczwała w sercu ukłucie bólu. Nie chciała od niego odchodzić.

Jeśli jednak zamierzała zacząć żyć własnym życiem, nie miała wyjścia. Na moment postanowiła odrzucić przykre myśli i cieszyć się ostatnimi spędzonymi z nim chwilami.

– Powiedz, co z dziadkiem?

Cooper sięgnął po kieliszek i przez dłuższy moment delektował się winem.

– Naprawdę niezłe – zauważył, spoglądając, jakby zaskoczony, na alkohol.

– Mhm – przytaknęła. Wyczuła, że wykręca się od odpowiedzi. – Mów w końcu, co się dzieje.

Opowiedział jej więc o podstępie dziadka, który postanowił ściągnąć do siebie na lato wszystkich wnuków. Jeremiah nie tylko wyprowadził w pole całą rodzinę, symulując poważną chorobę serca, ale wciągnął w oszustwo nawet swojego lekarza. Wystraszył wszystkich, żeby ściągnąć ich do Coleville.

– To okropne.

– Właśnie – zgodził się Cooper. – Dziadek jest starym, szcwanym lisem. Tym razem jednak przesadził. Poważnie nas wszystkich przeraził.

– Nie to miałam na myśli – przerwała mu Kara, widząc, że najwyraźniej nie zrozumiał intencji jej słów. – Okropne jest to, że musiał uciec się do podstępu, aby wymusić na wnukach odwiedziny.

– Słucham? – Spojrzał na nią zmieszany.

– Jak możecie tak go traktować? – spytała z wyrzutem. Odłożyła z łoskotem widelec na talerz, przerywając panujący w domu spokój.

– To znaczy jak? Nic nie zrobiliśmy – zaczął się bronić, wymachując w powietrzu sztucami dla podkreślenia swojej niewinności.

– I właśnie o to chodzi – odparła i napiła się wina, które przepływając powoli przez przełyk, dotarło do żołądka i przyjemnie rozgrzało ją od środka. – Żaden z was nic nie zrobił!

– Co sugerujesz?

– Powiedziałeś, że nie byłeś tu przez ostatnie piętnaście lat.

– Miałem ku temu powody.

– Powody? Pozwalające łamać staruszkowi serce? Ogarnęło ją współczucie podsycające jednocześnie gniew.

– Wyjechaliście i nie pokazywaliście się przez wiele lat. Biedny człowiek. Nit dziwnego, że w desperacji posunął się do kłamstwa.

Cooper westchnął i usiadł, chwytając kieliszek z winem, jakby był kołem ratunkowym.

– Masz rację.

– Słucham? – Przyłożyła dłoń do ucha.

– Nie kpij sobie ze mnie – mruknął. – Doskonale słyszałaś, co powiedziałem. Wiem, że powinniśmy wcześniej odwiedzić dziadka. Uwierz mi, nie było nam łatwo i mieliśmy swoje powody. Sądzisz, że za nim nie tęskniliśmy?

– Więc dlaczego? – spytała cichutko, pochylając się nad stołem i przyglądając mu się uważnie. – Dlaczego tak długo kazaliście mu czekać?

– Ponieważ – odparł łagodnie, przenosząc spojrzenie na kieliszek z winem – chociaż ciężko nam było bez dziadka, jeszcze trudniej było nam tu wrócić.

Cooper stał się nagle nieobecny. Odgrodził się od niej emocjonalnie, jakby celowo chcąc ją od siebie odsunąć. To zabolalo. Od pięciu lat byli ze sobą bardzo blisko. Nie byli kochankami, ale zawsze uważała, że łączyła ich przyjaźń.

Postanowiła zaczekać, aż na nią spojrzy. Potrafił być uparty. Cierpliwie, w milczeniu, liczyła upływające sekundy. W końcu podniósł na nią wzrok. Jego ciemne, brązowe oczy były pełne jakiegoś dawnego, głęboko skrywanego bólu.

– Co tak ważnego trzymało cię z dala od osoby, którą kochasz? – spytała.

Cooper przełknął łyk wina i ostrożnie, jakby się obawiał, że go stłucze, odstawił kieliszek na stół.

– Czasami miłość nie wystarcza – westchnął ciężko. Potarł dłonią policzek i posłał jej wymuszony uśmiech, który nie rozpogodził mu twarzy. – Czasami miłość jest problemem.

Zimny prąd powietrza przeleciał przez kuchnię, otoczył Karę, a następnie Coopera, biorąc oboje w lodowate objęcia.

Zadrzała.

– Takie stare domy bywają nieszczelne. – Wstał i przeszedł przez kuchnię. – Zamknę okno w salonie.

Powiew chłodu nagle odpłynął. Kara rozejrzała się zaniepokojona po pustej kuchni. W starym budownictwie często zdarzają się przeciągi, ona jednak zamknęła okno w salonie dwie godziny temu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obudziła się cała roztrzęsiona.

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, z trudnością łapała oddech, nie mogąc do końca otrząsnąć się z koszmaru sennego. Przełknęła ślinę i wtuliła się mocno w kołdrę, starając się uspokoić.

Nie mogła sobie przypomnieć, co jej się przyśniło. Co tak straszliwie prześladowało ją we śnie, nie opuszczając podświadomości nawet po przebudzeniu? Na całym ciele miała gęsią skórę, nie była w stanie pozbyć się uczucia wiszącej w powietrzu grozy.

Wtedy usłyszała to.

Szloch.

Ktoś w starym domu płakał, jakby wydzierano mu serce. Jęki przybrały na sile, stały się głośniejsze, wypełniając powietrze rozpaczą i bólem. Po chwili szloch przycichł, przechodząc w prawie niesłyszalny szept.

Karze zaschło w ustach. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Odrzuciła kołdrę i spuściła nogi na podłogę. Poczula pod stopami nieprzyjemny chłód polakierowanych desek, na który nawet nie zwróciła uwagi, Wstała i ruszyła do drzwi zdeterminowana odnaleźć źródło rozpaczliwego zawodzenia. Przeszywał ją paniczny lęk, ustępujący jednak miejsca ciekawości. Chwyciła za lodowatą, żelazną klamkę i szybkim szarpnięciem otworzyła drzwi. Wyszła na korytarz, a następnie powędrowała do holu. Nagle zatrzymała się, nie będąc w stanie zrobić kroku dalej. Żalose zawodzenie powtórzyło się, tym razem donośniej. Wzdrygnęła się, poczuła, jak jeżą jej się włosy na głowie. Przez zwieńczone łukiem okno do holu przedostawały się promienie księżyca, malując na ścianach i wyblakłym chodniku plamy bladossrebrnej poświaty. Na zewnątrz drzewa tańczyły na wietrze, rzucając upiorne, dziko poruszające się cienie.

Niespodziewanie naprzeciw Kary otworzyły się drzwi. Podskoczyła z przerażenia. Mogłaby przysiąc, że na wysokość metra. Serce podeszło jej do gardła. Chwyciła za klamkę i w tym momencie ujrzała stojącego w progu ze zmierzwionymi od snu włosami Coopera. Rozejrzał się uważnie po holu, po czym obrzucił wzrokiem asystentkę.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – zażądał wyjaśnień surowym tonem.

Przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu. Lonergan ubrany był w czerwone bawełniane, związkiwane sznureczkiem w pasie spodnie od pidżamy, które zsunęły mu się luźno na biodra, a przydługie nogawki zrolowały się na nagich stopach. W świetle księżyca jego umięśniony tors wyglądał jak wyrzeźbiony w brązie. Ręce Kary zapragnęły go dotknąć.

– Halo! – zawołał, machając jej dłonią przed oczyma.

Potrząsnęła głową, wysłała hormony na wakacje i warknęła:

– Zabierz rękę sprzed mojej twarzy!

– Nie zwracałaś na mnie uwagi.

– Nieprawda – zaprzeczyła, choć wiedziała, że miał rację. Widok Coopera, który wyszedł prosto z łóżka, zauroczyłby każdą, nawet najbardziej nieczułą kobietę.

Niespodziewanie ciszę przeszył szloch. Dochodził z dołu, przybierając coraz bardziej na sile, i unosił się ku górze jak powoli nadmuchiwany balonik. Kara po raz drugi dostała gęsiej skórki.

Cooper odwrócił głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce, z którego dochodziły jęki.

– Powiedz, że też to słyszałaś.

– O tak... – wysapała.

– To dobrze.

– Dobrze? – powtórzyła. – A co w tym dobrego?

– Sądziłem, że się przesłyszałem – wyszeptał, robiąc krok w kierunku schodów. – Skoro jednak oboje to słyszeliśmy, to znaczy, że to się dzieje naprawdę. – Zniżył głos jeszcze bardziej, przysuwając się do niej. – Ktoś sobie z nas robi żarty.

Kara poczuła dławienie w gardle. Gorący oddech Coopera na jej policzku wytrącił ją z równowagi. Z trudem starała się skoncentrować na tym, co mówił, i nie dać się obezwładnić uczuciom, które budziła w niej jego bliskość. Przymknęła na moment oczy, wciągnęła do płuc powietrze i spytała:

– Kto mógłby wymyślić tak głupi dowcip?

– Mój kuzyn Jake, ale z tego co wiem, jest teraz w Hiszpanii – odparł pisarz, obrzucając ją spojrzeniem. Uśmiechnął się pod nosem i dodał: – Mike Haney.

– Kto? – spytała, idąc za nim na palcach w kierunku schodów. Nagle Cooper odwrócił się i Kara o mało nie krzyknęła.

– Ciii... – uspokoił ją, kładąc jej ręce na ramiona. – Mike to stary przyjaciel. Razem dorastaliśmy. Kuzyn Sam powiedział mi, że widział go w mieście kilka dni temu. To w jego stylu.

Ona jednak była innego zdania. Z drugiej strony musiała przyznać, że jej umysł nie pracował na pełnych obrotach. Duże dłonie Lonergana o utalentowanych, długich palcach trzymały ją mocno, parząc dotykiem skórę, elektryzując zmysły i przyprawiając o dreszcze.

Skup się, zrugła się w myślach. – Posłuchaj...

– Zostań tu – ostrzegł ją, unosząc rękę w geście, jakby wydawał komendę krnąbrnemu szczeniakowi.

– Słucham?

Popatrzył na nią gniewnie.

– Zaczekaj tu, a ja zejdę na dół i wybiję Mike’owi głupoty z głowy.

– Mowy nie ma – oświadczyła, ruchem dłoni dając mu do zrozumienia, żeby szedł dalej, gdyż ona nie zamierza odstąpić go nawet na krok. – To nie stary film grozy, gdzie on ją zostawia i sam idzie się zmierzyć z niebezpieczeństwem.

– Jedyną osobą, której tu grozi niebezpieczeństwo, jest Mikę Haney – parsknął.

– Te jęki nie przypominają męskiego głosu. A jeśli się mylisz? Nie zostanę tu w żadnym wypadku!

Zawodzenie nie milkło, to przybierając na sile, to po chwili cichnąc, jak przyptywające i odpływające morskie fale. W powietrzu unosiło się niejasne napięcie, atmosfera stawała się

coraz cięższa. Kara zaczynała żałować, że to jednak nie film, że nie może schować się pod łóżkiem i zaczekać, aż Cooper sprawdzi, co się dzieje.

Raptownie powietrze przeszył rozdzierający szloch. Serce Kary wypełniło się współczuciem.

– Trzymaj się za mną – mruknął Cooper, skradając się powoli po schodach, stawiając uważnie jedną stopę za drugą.

– Jasne – szepnęła, przyklejając się do niego jak cień.

Wyciągnął do tyłu rękę i chwycił jej dłoń, mocno przytrzymując. Kara przytuliła się do niego, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

Kiedy znaleźli się na dole, zawroźnienie otoczyło ich ze wszystkich stron, odbijając się echem od ścian i sufitu. – Cooper...

– Spokojnie – dodał jej otuchy.

Miał znacznie dłuższe od niej nogi, więc żeby dotrzymać mu kroku, praktycznie musiała za nim biec. Skierowali się do salonu.

– To stamtąd dochodzą jęki. Słyszysz? Im bardziej się zbliżamy, tym są głośniejsze.

Kiedy znaleźli się w samym centrum, Kara zaczęła się zastanawiać, po co się upierała, żeby szukać rozwiązania zagadki. Jeśli to przyjaciel Coopera, nie było się czego bać. A jeśli nie? Nie zamierzała jednak teraz o tym myśleć.

– Gotowa? – spytał, spoglądając na nią. Jego dłoń spoczywała na mosiężnej klamce drzwi salonu.

– Nie.

Posłał jej szelmowski uśmiech, który uspokoił jej lęki i obudził przyjemne fantazje.

– No dobrze, po prostu otwórz – wyjąkała. Szarpnęła drzwi, które natychmiast ustąpiły, i weszli do środka. Niespodziewanie szloch ustał.

Przez szerokie frontowe okna wpadało do salonu jasne światło księżyca, rzęsiście go rozświetlając. Tylko w mrocznych kątach czaiły się cienie, które zniknęły, kiedy Cooper zapalił światło. W pokoju oprócz nich nie było nikogo.

Pisarz wypuścił dłoń Kary, obszedł wkoło niewielki, urządzonej w starym stylu salonik. Zajrzał za zasłony, otworzył zabytkową szafę, jakby się spodziewał znaleźć w niej Mike'a z magnetofonem.

Nie odkrywając niczego podejrzanego, oświadczył:

– Przyznaję, jestem zupełnie zbity z tropu.

Kara wolno spacerowała po pokoju, obejrzała psa z chińskiej porcelany, musnęła dłonią frędzelki na kloszu lampy.

– Mówiłeś, że ten dom jest nawiedzony, tak?

Cooper zmarszczył brwi, skrzyżował ręce na piersi i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że za nocnymi jękami stali jego przyjaciele. Kiedy byli dziećmi, uwielbiali się wzajemnie straszyć. Najlepszym dowcipem, jaki można było zrobić autorowi powieści grozy, było zorganizowanie mu ducha. Gdyby jednak faktycznie maczali w tym palce, odnalazłby jakieś dowody. Oczywiście rano przeszuka dokładnie salonik, teraz jednak nie miał pojęcia, jakim cudem przenikliwy głos mógł się sączyć ze ścian w całym

domu, a po chwili raptownie urwać.

– To, że nie znalazłem Mike’a, nie znaczy, że mieszka z nami duch.

Kara nie wyglądała na przekonaną jego wyjaśnieniem. Spacerowała po pokoju, wodząc palcem po grzbietach starych, oprawionych w skórę książek. Cooper zaczął jej się uważnie przyglądać. Nigdy wcześniej nie zauważył, że miała bujne, brązowe, opadające na ramiona loki, teraz lekko potargane. Letnia bladozielona, jedwabna koszulka nocna na cienkich ramiączkach, z głęboko wyciętym dekoltem, ledwie zakrywająca pośladki, odsłaniała zadziwiająco jędrne, pociągające ciało. Jego asystentka miała gołe nogi i pomalowane na szkarłatny kolor paznokcie u stóp.

Zalała go fala gorąca. Chrapliwie wciągnął powietrze. Nie potrafił oderwać od niej oczu. Kiedy się zatrzymała i pochyliła, by obejrzeć znajdującą się na jednej z dolnych półek książkę, ogarnęła go nieodparta ochota zajrzenia jej pod koszulkę.

Obudził się w nim mężczyzna.

Co go naszło? Znał ją od pięciu lat, razem pracowali i nigdy dotąd jej nie pragnął. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby ją zaciągnąć do łóżka. Teraz jego rozpalony umysł ogarnęło pożądanie.

– Dobrze się czujesz?

– Co mówiłaś? – Przybrał srogą minę, gdy zdał sobie sprawę, że z zaciekawieniem go obserwuje. Pięknie, pomyślał, mając nadzieję, że nie zauważyła, że właśnie rozbierał ją wzrokiem. – Oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – odparła tonem, który wskazywał, że myśli zupełnie coś innego. – Po prostu tak dziwnie na mnie patrzyłeś.

– Zdawało ci się – stwierdził, śmiejąc się nieco zbyt głośno i trochę sztucznie.

– Wcale nie. Spokojnie. Opanuj się.

Przeczesał nerwowo dłońmi włosy. Musiał natychmiast odwrócić uwagę od pędzących przez jego umysł niekontrolowanych myśli. Kara w koszulce, Kara bez koszulki. Dość!

– Nie chciałem. – Wzruszył ramionami. – Po prostu jakoś tak inaczej wyglądasz.

– Co masz na myśli? – spytała, krzyżując przed sobą ręce i mimowolnie uwypuklając kształtne piersi wychylające się kusząco z dekoltu.

Cooperowi krew odpłynęła z mózgu w dolne partie ciała.

– Nieważne – wymamrotał i zabrał się za sprawdzanie, czy wszystkie okna są zamknięte i czy mają zasunięte zasuwki.

Zajmij się czymś, odwróć od niej myśli, zaczął sobie powtarzać gorączkowo w duchu.

– Inaczej, czyli jak? – drążyła.

Spojrzał na nią przez ramię i natychmiast odwrócił głowę. Wyglądała zniewalająco, co potwierdziła natychmiastowa reakcja jego ciała.

– Daj spokój, dobrze?

– Nie! Co oznacza „inaczej”? – spytała rozbawionym głosem.

– Chodzi o twoją koszulkę – odparł sztywno.

Kara zachichotała. Cooper przez dłuższą chwilę nie zrywał z nią kontaktu wzrokowego, jakby siłował się z nią na spojrzeń.

– Przecież nie mam na sobie czarnego koronkowego peniuaru – rzuciła, gładząc dłońmi jedwabny ciuszek, który ledwie ją zakrywał.

Oczami wyobraźni Lonergan ujrzał zmysłowy obrazek, który bardzo mu przypadł do gustu.

– Poza tym – dodała – to strój do spania. Myślałeś, że chodzę do łóżka w szpilkach?

Fantazja podrzuciła mu kolejną interesującą wizję. Bolesnie jęknął w duchu. Po tajemniczych odgłosach i nowo odkrytym wizerunku asystentki na pewno nie będzie mógł zasnąć do rana. Sapnął głośno i wyrzucił z myśli nocną koszulkę Kary.

– Teraz niczego więcej się nie dowiemy. Poza tym jestem zmęczony – a raczej rozpalony, dodał w myślach – i nie mam ochoty więcej o tym rozmawiać. Zapomnijmy o wszystkim i wracajmy do łóżek.

Kara rozejrzała się po pustym pokoju i z jej twarzy zniknął uśmiech.

– Myślisz, że to się powtórzy?

– Mam nadzieję, że nie – odrzekł i wyszedł z salonu. Słyszał, jak dziewczyna idzie za nim, delikatnie stąpając nagimi stopami po drewnianej podłodze. W połowie schodów zaczął przeskakiwać po dwa stopnie. Nie chciał, żeby go wyprzedziła. Widok jej na wpół nagiego ciała mógłby go obezwładnić.

Następnego dnia Kara, siedząc obok Coopera w jego ogromnej terenówce, nadal odczuwała ogromną radość, że w końcu udało jej się zwrócić na siebie jego uwagę. Na krótko, ale jednak. Widziała jego twarz zeszłej nocy, kiedy się jej przyglądał. Miała świadomość, że nic z tego nie będzie, niemniej jednak cieszył ją fakt, że w końcu dostrzegł w niej kobietę.

Na pewno więcej się to nie powtórzy.

Bez tańczących w mroku nocy cieni tworzących intymną atmosferę wszystko powróciło do zwykłego stanu rzeczy. Cooper był jak zawsze uprzejmy, choć nieco rozproszony, ona żałowała, że marzenia się nie spełniają.

Pisarz unikał Kary przez cały ranek. Kiedy zszedł do kuchni, kiwnął jej tylko głową na powitanie, po czym napełnił termos kawą i uciekł na górę. Później słyszała stukot palców uderzających w klawiaturę komputera. Była w domu praktycznie sama, nie licząc tajemniczego autora nocnych jęków.

Teraz Cooper siedział zaledwie na wyciągnięcie ręki i nie odzywał się. W skupieniu obserwował drogę, celowo nie zwracając na Karę uwagi.

Nie mogła dłużej tak tego ciągnąć. Potrzebowała mężczyzny, który będzie ją kochał, pragnęła mieć dzieci, zanim osiągnie wiek emerytalny.

Kiedy wjeżdżali na podjazd rancza Jeremiaha, obrzuciła pisarza szybkim spojrzeniem. Miał napięte mięśnie twarzy i zaciśnięte usta. Zwęziły mu się źrenice ciemnych oczu i zaczęła drgać dolna szczęka, jakby zgrzytał zębami.

O co chodziło? Dlaczego nie chciał tu przyjeżdżać?

Dlaczego nic jej nie wyjaśnił?

Terenówka sunęła miękko po nierównej drodze. Cooper skręcił za róg domu i zaparkował

auto w cieniu ogromnego, rozłożystego drzewa, które wyglądało, jakby rosło tu od początku świata. Na dworze hulał wiatr, wzbijając w powietrze tumany kurzu i podrywając wiszące na sznurach pranie. Wiekowe drzewa wyznaczające granicę posesji gięły gałęzie pod wpływem silnych podmuchów znad oceanu.

W drugim końcu podwórza stał niewielki domek dla gości. Nawet z tej odległości widać było odbijające się w szybach okien promienie słońca. Na zadbanej frontowej werandzie stały donice z niebieskimi i purpurowymi bratkami. Na drzwiach wisiał witający gości stroik z winorośli.

W odległości około stu metrów od głównego budynku znajdowała się imponująca stodoła o otwartych na oścież podwójnych wrotach, zapraszając do chłodnego cienistego wnętrza.

Największe wrażenie zrobił na Karze dom. Stary, ogromny, niezwykle zadbane. Kamienne pilastry wzmacniały cztery narożniki budynku, wzdłuż ścian rosły gęsto czerwone i białe pelargonie. Dom, choć masywny, sprawiał wrażenie przytulnego i rodzinnego.

Zupełnie inny musiał być dla Coopera. Wyłączył silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki i przez dłuższą chwilę ścisnął je w dłoni.

Zostali zaproszeni przez dziadka na lunch. Kara jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak niechętnie odwiedzającego bliskiego członka rodziny.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się.

– W porządku. A co?

– Nie wiem, wyczuwam w tobie napięcie. Lonergan westchnął, odchylił się do tyłu i rozpiął pas, nadal jednak nie wysiadał z samochodu. Odwrócił głowę i po raz pierwszy tego dnia na nią spojrzał. W jego oczach dostrzegła kłębiące się emocje, pojawiające się i znikające tak szybko, że nie można ich było odczytać.

Od kiedy go poznała, nigdy nie widziała go w takim stanie. Działo się w nim coś niedobrego. Coś, co rozdzierało go od wewnątrz.

– Nie chcę o tym mówić – wyznał.

Niespokojna, a jednocześnie zaintrygowana, odwróciła się do niego.

– Jeśli jest coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim poznam twoją rodzinę...

– Nie przejmuj się – przerwał jej, posyłając jej szybki uśmiech i otwierając drzwi samochodu. – Oni również nie będą chcieli o tym mówić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cooper przez dłuższy czas obserwował, jak kuzyn Sam patrzy na swoją dziewczynę, i poczuł niejasną zazdrość. Nie miało to sensu, gdyż sam nigdy nie chciał mieć żony ani dzieci. Teraz jednak...

Podczas lunchu wszyscy czuli się skrępowani. Jediną osobą, która starała się podtrzymać konwersację i rozśmieszyć towarzystwo, był Jeremiaś. Cooper był niespokojny od momentu, w którym przekroczył próg domu dziadka. Przez cały czas czekał, aż do pokoju wbiegnie szesnastoletni Mac, a ponieważ chłopiec się nie pojawiał, Lonergana przeszywał od środka coraz głębszy, silniejszy ból, tak świeży jak piętnaście lat temu.

Kiedy w końcu wyszli na zewnątrz do ogrodu, Cooper zaczerpnął świeżego powietrza. Nadal nie opuszczały go straszne wspomnienia. Obserwował Sama siedzącego obok na fotelu ogrodowym. Wreszcie nie wytrzymał i wypalił:

– Jak możesz?

– Co? – Kuzyn niechętnie oderwał wzrok od Maggie wieszającej mokre prześcieradła na sznurach do bielizny.

– Być tu – powiedział jakby z wyrzutem, zaciskając w pięści butelkę z piwem i zataczając nią krąg. – Mieszkać tu.

Uśmiechnięta twarz Sama pociemniała.

– Na początku było ciężko – przyznał, popijając piwo.

– Tyle wspomnień.

– Właśnie. – Lonergan westchnął z ulgą. Dobrze było wiedzieć, że nie tylko on walczył z widmami przeszłości.

– Kiedy tu siedzimy, mam przed oczyma obraz, jak wszyscy razem gramy na łące.

Sam uśmiechnął się smutno, gdyż myślał dokładnie o tym samym.

– Pamiętasz, jak Mac chciał uciec babci przez kuchenne okno? – zachichotał.

– I wylądował w garnku z sosem do spaghetti. Jak mógłbym zapomnieć? – Smutek ścisnął mu gardło.

– Mogłeś odebrać tę piłkę – zmienił temat, żeby rozładować napięcie.

– Jasne, tyle że byłem bez szans.

– Zbyt leniwy, żeby po nią skoczyć – powiedział Cooper, pociągając łyk zimnego piwa.

– Podania Maca były jak pociski.

– Tak, pamiętam. – Nagle piwo stało się gorzkie. – Do licha. Nadal wydaje mi się, że on zaraz przyjdzie, że go usłyszę.

– Ja też tak miałem – wyjął Sam. – W końcu jednak zdałem sobie sprawę, że odszedł. Nie ma go. Nie krąży tu wokół nas i nie obwinia nas o to, co się stało.

– Nie musi – odparł gorzko Lonergan, podnosząc się, gdyż nie mógł dłużej usiedzieć. Ścisnęło go w żołądku i w gardle, zaschło mu w ustach. – Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał. Jest mi z tym źle i czuję się winny.

Kuzyn podniósł na niego spokojne brązowe oczy, w których malowało się zrozumienie i

współczucie.

– To nie ma sensu.

– Przeciwnie. Mac nie żyje – powiedział i kopnął leżący na ziemi kamień, wznosząc obłok pyłu. – My staliśmy jak kretyni, a on umierał.

– Byliśmy dziećmiakami – przypomniał mu Sam, odgarniając z oczu włosy, które rozwiewał wiatr.

– Tak, ale nie zginęliśmy tragicznie w wieku szesnastu lat.

Wydarzenia tamtego długiego, letniego dnia stanęły mu znów przed oczyma.

Zorganizowali we cztery ulubione zawody. Ustawiali się w kolejce na skale nad jeziorem nieopodal rancza. Jeden po drugim brali rozbieg i skakali z wysokości do wody. Pozostali kibicowali z brzegu i mierzyli czas. Dostawało się punkty za odległość oraz za najdłuższy czas przebywania pod wodą. Zawsze zwyciężał Jake.

Tym razem Mac postanowił wygrać. Udało mu się skoczyć na znacznie większą odległość niż Jake'owi. Żeby zająć pierwsze miejsce, musiał jeszcze dłużej przebywać pod wodą. Sam miał stoper i sprawdzał czas. Pozostali chłopcy zgromadzili się wokół niego, czekając w napięciu na wynik. Kiedy Mac zaczął się niebezpiecznie zbliżać do rekordu Jake'a, ten coraz bardziej się denerwował. Cooper zaczął krzyczeć z radości, że ktoś nareszcie pokona mistrza. Minęły jednak dwie minuty i Mac nie wypływał. Sam zaczął się niepokoić. Chciał po niego wskoczyć, ale Cooper namówił go, żeby dać zawodnikowi jeszcze kilka sekund, które zapewnią mu zwycięstwo.

Nawet teraz Lonergan czuł na twarzy tamten wiatr i prażące słońce na plecach. Słyszał przekleństwa Jake'a i nutę niepokoju w głosie Sama. Przede wszystkim jednak dźwięczały mu w uszach własne słowa: – Co ty taki strachliwy? Macowi nic nie będzie, zaraz się wynurzy.

On jednak nie wypłynął.

W końcu wszyscy trzej wskoczyli do lodowatej wody i znaleźli kuzyna leżącego na dnie. Wyciągnęli go na brzeg, zastosowali sztuczne oddychanie, ale Mac już nie żył. Lekarz powiedział później, że złamał kark, stracił przytomność i utonął.

Od tamtego dnia wszystko się zmieniło.

Cooper unikał rancza jak zarazy. Podobnie zresztą pozostali. Karali samych siebie i siebie nawzajem. Nawet po tylu latach Coopera dławiło w piersi, kiedy tu wrócił.

– Naprawdę sądzisz, że musisz mi przypominać, co się wtedy stało? Uważasz, że cierpiałem przez te lata mniej niż ty? Że śmierć Maca nie prześladowała mnie tak jak ciebie?

Stojąc w cieniu starego dębu, na którym mieli kiedyś huśtawkę z opony, Cooper spojrzał uważnie na Sama i dostrzegł w jego oczach ten sam wyraz udręki, który widział dziś w lustrze we własnym odbiciu.

– Nie, to nie tak... – urwał, kręcąc głową. Rozejrzał się po okolicy: dom, ogród, stodoła, to wszystko pełne było wspomnień nacierających na niego jak ogromna fala przyływu. – Po prostu nie rozumiem, jak sobie z tym poradziłeś? Jak możesz tu mieszkać, nie dusząc się od koszmarów?

– Na początku było ciężko. Runęły wszystkie moje plany. – Zaśmiał się krótko i pociągnął łyk piwa. – Miałem tu spędzić tylko lato, ale Jeremiaś podstępem wymusił na mnie,

żebym został...

Cooper pokiwał ze zrozumieniem głową, znając aż za dobrze fortele szczwanego staruszka.

– Potem zamierzałem wyjechać – ciągnął dalej – jak najdalej od Coleville i wspomnień.

– I dlaczego tego nie zrobiłeś? – spytał Cooper, po czym uniósł do góry dłoń. – Nie musisz mówić. Wiem, dlaczego – oświadczył, rzucając wymowne spojrzenie na Maggie walczącą ze szczeniakiem golden retriever o mokrą poszewkę. – Podoba mi się – dorzucił. Sam uśmiechnął się.

– Dzięki. Mnie również. – Na moment twarz mu spochmurniała i dodał: – Ale nie chodzi tylko o to, że się zakochałem. Udało mi się pogodzić z Makiem. – Obrzucił czule wzrokiem ukochaną kobietę, która śmiejąc się głośno, tarzała się po ziemi z psem. – Maggie mi w tym pomogła. Przetłumaczyła mi, że Mac by nie chciał, żebyśmy się zadręczali do końca życia z powodu tego wypadku.

Cooper nie miał pewności, czy Sam ma rację. Musiał jednak przyznać, że ta wiara bardzo pomogła kuzynowi.

– Niezwykła kobieta.

– Jest dla mnie wszystkim – wyznał cicho Sam.

Coopera ogarnęło poczucie zazdrości, które natychmiast od siebie odepchnął. W końcu przecież sam uznał, że nie potrzebuje miłości. Wiązało się z nią zbyt wiele ryzyka i bólu. A on miał już przydział cierpienia zapewniony do końca życia.

Interesowały go jedynie romanse, które opisywał w swych powieściach. Jeśli dobrze się kończyły, czytelników nie obchodziło, czy autor wierzy w miłość i szczęście na wieki.

Mimowolnie pobiegł wzrokiem na skraj łąki, gdzie spacerowała Kara z Jeremiahem.

– Miło jest mieć Coopera znów w domu – wyznał Jeremiah.

– Aż trudno uwierzyć, że od tak dawna tu nie przyjeżdżał.

– Wszyscy mieli ku temu powody – westchnął. – A przynajmniej tak uważali, co na jedno wychodzi.

Kara zwróciła spojrzenie na starszego mężczyznę. Miał skórę szorstką od ciągłego przebywania na powietrzu, siwe rzadkie włosy i ciemne, pełne wyrazu oczy, tak bardzo podobne do oczu Coopera.

Od razu go polubiła. Podobnie jak Sama i Maggie. Przez całe popołudnie starała się nie okazywać zazdrości, słuchając jak Maggie opowiada z zapałem o planach związanych z weselem i o ciąży. Młodzi zamierzali za kilka tygodni wziąć ślub i zamieszkać w domu dziadka.

Sam miał przejąć lokalny gabinet lekarski, jego narzeczona kończyła szkołę. Każde słowo Maggie docierało do Kary, coraz jaśniej jej uświadamiając, że jej życie jest puste. Okropne, pomyślała, i natychmiast się zawstydziała. Powinna się cieszyć ich szczęściem. I poniekąd tak było. Stanowili wyjątkowo miłą i sympatyczną parę. Czy nie było w tej sytuacji naturalne, że w obliczu cudzego szczęścia użalała się nad własnym losem?

Co do tej pory osiągnęła w życiu?

Zasobne konto w banku i ładne mieszkanie. Zbliżała się do trzydziestki i oprócz matki, która telefonowała raz w tygodniu, przypominając jej, że czas płynie nieubłaganie, nie miała się kim opiekować ani tym bardziej nikogo, kto by się o nią troszczył.

Coś tu było nie tak.

Szła obok Jeremiaha, który opowiadał o życiu na ranchu i planach, jakie snuli z Samem, i nie była w stanie skupić się na tym, co mówił. Myśli jej uciekały, a serce walczyło z rozumem, który właśnie podjął jedyne i słuszne postanowienie.

Od dłuższego czasu odkładała decyzję o złożeniu Cooperowi wypowiedzenia, ponieważ nie szło mu pisanie najnowszej powieści. Przeciągając to w czasie, robiła sobie krzywdę. Lepiej jednak stawić czoło trudnej sytuacji i wykonać konieczny ruch.

Odnalazła wzrokiem Coopera stojącego w cieniu drzewa. Śmiał się z czegoś, co powiedział Sam. Choć serce jej krwawiło, postanowiła wpisać sobie w pamięć ten właśnie obrazek, takim go na zawsze zapamiętać. Zaczęła przygotowywać się psychicznie do odejścia.

– Muszę przyznać, że doskonale gotujesz – pochwalił Karę Cooper, opierając się wygodnie na krześle przy kuchennym stole i uśmiechając się.

– To zwykle steki. Żaden rarytas dla prawdziwego smakosza.

– Spaliłem w życiu wiele steków, dlatego śmiem twierdzić, że nawet tak prosta potrawa wymaga odrobiny talentu.

– Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która przypali nawet wodę.

– Przykre, ale prawdziwe – przyznał, spoglądając na nią bez cienia zażenowania. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił – dodał, zanosząc talerze do zlewu. – Naprawdę – ciągnął dalej, gdyż ona milczała – jesteś niezastąpiona.

– To miłe, co mówisz, ale...

– Wiesz, że nie musisz gotować – przerwał jej, odstawiając z łoskotem naczynia. – Możesz zatrudnić kogoś do pomocy.

Powinna teraz zdobyć się na odwagę i powiedzieć mu, że będzie potrzebował nie tylko kucharki i sprzątaczkę, ale i nowej asystentki.

– Skoro o tym wspomniałeś...

Nie zdążyła dokończyć, gdyż rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Cooper przerwał sprzątanie i poszedł otworzyć. Na werandzie stał dziadek. W dłoniach trzymał przykryty metalową folią talerz.

– Widzieliśmy się zaledwie kilka godzin temu. – Cooper uśmiechnął się do starszego mężczyzny.

– Nie przeczę – powitał go Jeremiah i wepchnął się do środka, nie czekając na zaproszenie. Tuż za nim wbiegł szczeniak. Przemknął przez kuchnię, po czym ostro zahamował, wpadając pod kredens.

Dziadek zachichotał.

– Zaproponowałem Maggie, że zabiorę Shebę na spacer, a ona dała mi talerz ciasteczek, prosząc, abym wam zaniósł.

– Słodczyce są zawsze mile widziane – ucieszył się Cooper, sięgając po półmisek. – Ty

zresztą również – dodał po chwili.

Staruszek uśmiechnął się i zasiadł przy kuchennym stole. Wyciągnął rękę, pogładził dłoń Kary i wyszeptał:

– Chyba nie pożałujecie mi filiżanki mocnej kawy? Wieczorem Maggie pozwala mi pić tylko bezkofeinową. Chyba chce mnie dobić.

– Już szykuję – zawołała Kara wdzięczna Jeremiahowi, że podarował jej kilka chwil zwłoki. Dlaczego było jej tak ciężko dać Cooperowi wymówienie? Wiedziała, że musi to zrobić, tylko dlaczego było to tak trudne?

Cooper sprzątnął resztę brudnych naczyń ze stołu i Kara podała kawę.

Pies ułożył się pod stołem, z zadowoleniem żując sznurowadła tenisówek pisarza.

Dziadek z westchnieniem rozkoszy przełknął łyk kawy i wypalił:

– I co? Widzieliście już ducha?

– Jeszcze nie, ale słyszeliśmy w nocy jęki – odrzekł Cooper ze śmiechem.

– Raczej szloch – poprawiła go Kara, obejmując dłońmi filiżankę z kawą, jakby chciała ochronić napój przed zimnem.

– Tak? – mruknął z przejęciem staruszek.

– Nie ekscytuj się za bardzo. Jestem przekonany, że ktoś robi nam kawał. Duchów nie ma.

– Do licha! Mój chłopcze, piszesz powieści grozy i nie wierzysz w zjawy?

– Na pewno nie w takie, które hałasują po nocy w domu.

Kara zauważyła, że Cooper nagle uciekł gdzieś myślami. Zamknął się w sobie, a ona nie wiedziała, co było tego przyczyną. W takich wypadkach zazwyczaj wkraczała i wyciągała go z dołka.

– Znasz historię tej posiadłości? – spytała, odwracając uwagę Jeremiaha od Coopera.

Dziadek westchnął ciężko i uśmiechnął się do niej, dając do zrozumienia, że wie, że chciała załagodzić sytuację, i że to docenia. Poklepał ją przyjacielsko po dłoni i powiedział:

– Wszyscy okoliczni mieszkańcy znają historię tego domu.

– Opowiedz mi ją – poprosiła, gdyż Cooper nadal milczał.

– Wszystko zaczęło się w czasach gorączki złota – rozpoczął wartką narrację, odtwarzając barwny obraz epoki. Kara zdała sobie sprawę, że Lonergan odziedziczył dar słowa po dziadku. – W tamtym okresie było jeszcze niewiele rancz. Większość ziemi należała do hiszpańskiej szlachty, która była niechętna napływowi jankesów do Kalifornii. Ten dom został zbudowany przez jednego z pierwszych poszukiwaczy złota, któremu się poszczęściło. Kupił tę ziemię od hiszpańskiego szlachcica, postawił rezydencję i przywiózł ze wschodu żonę. Miał jedną córkę i kiedy zmarł, pozostawił jej cały majątek. Dziewczyna była jeszcze bardzo młoda i zakochała się w żołnierzu, który okazał się draniem.

– Ta historia źle się kończy? – spytała z niepokojem.

– Niestety, inaczej nie byłoby ducha, prawda? Cooper wypił łyk kawy, opadł na oparcie krzesła i utkwiał spojrzenie w dziadku. Jeremiah zignorował go i zwrócił się do Kary.

– Ten młody człowiek kochał ją na swój sposób. Był jednak ambitny. Marzył o zdobyciu fortuny. Nie miał jeszcze ochoty na ustatkowanie się. Odjechał szukać złota, obiecując

dziewczynie, że po nią wróci.

– I nie zrobił tego? – domyśliła się, współczując biednej kobiecie.

– Czekala na niego przez dwa lata. Opuszczona, smutna, wyglądała go codziennie przez długie godziny z okna salonu, oplakując utraconą miłość.

Ciało Kary przeszył spazm bólu. Czula unoszące się w powietrzu nieszczęście i cierpienie dziewczyny. Za oknami szalał wiatr, szarpiąc okiennicami i unosząc tumany kurzu i drobnych kamyczków. Do kuchni wdarł się powiew lodowatego powietrza i leżąca pod stołem Sheba cicho zawarczała.

– W końcu umarła – powiedział łagodnie, wręcz z nabożnym skupieniem – gdyż złamano jej serce.

Cooper prychnął, przyciągając spojrzenie asystentki. Jeremiaś nadal nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

– Nie potrafiła żyć bez miłości. Od tamtego czasu żaden najemca nie zagrzał wiele czasu w tym domu. Wszyscy z niego uciekają. To nie jest szczęśliwe miejsce.

– A co stało się z tym mężczyzną?

– Wrócił po nią kilka tygodni po jej śmierci. Ale było już za późno.

Niespodziewanie z hukiem zamknęła się jedna z okiennic. Kara podskoczyła przestraszona. Pisarz zaśmiał się.

– Szkoda, że nie widziałaś swojej miny. Historyjka dziadka musiała zrobić na tobie spore wrażenie.

Jeremiaś zmarszczył surowo brwi, karcąc wnuka wzrokiem.

– Uważasz, chłopcze, że nie warto umierać dla miłości? Cooper potrząsnął głową, wstał i poszedł po stojący na kuchennym blacie dzbanek z kawą. Napelnił wszystkim filiżanki i odstawił naczynie na miejsce.

– Morał tej historii jest prosty. Miłość nie jest tego warta.

– Nic nie zrozumiałeś. To właśnie miłość jest jedyną wartością.

Serce Kary zamarło, kiedy obaj mężczyźni zaczęli się sprzeczać. Ogarnęło ją poczucie pustki, kości przeszył lodowaty chłód. Przeczucia jej nie myliły. Cooper nigdy jej nie pokocha. Zawsze będzie w niej widział jedynie kompetentną asystentkę i świetną kucharkę. Nie ma sensu dalsze odkładanie decyzji, gdyż nic się nie zmieni. Po co w tej sytuacji przy nim trwać i się zadreć?

Bez sensu.

Po godzinie Jeremiaś odjechał, a oni zostali sami w kuchni.

Lonergan mył naczynia, a Kara je wycierała. Panowała miła atmosfera, doskonała okazja, żeby powiedzieć mu o wymówieniu.

– Cooper?

– Słucham? – Podał jej kolejny talerz.

– Odchodzę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Bardzo zabawne – zachichotał, nie przerywając pracy. – To nie jest dobry temat do żartów.

– Mówię poważnie.

– Przecież nie możesz.

– Mogę i zrobię to. Składam ci wymówienie z dwutygodniowym okresem wypowiedzenia.

Zakręcił kran i odwrócił się. Długie brązowe włosy Kary zebrane były do tyłu i spięte czymś, co przypominało paszczę aligatora. W padającym od góry świetle jej wielkie zielone oczy pociemniały, a z twarzy zniknął uśmiech.

– Chodzi o ducha, tak? Nocne jęki? Nie przejmuj się, ktoś po prostu robi nam głupi dowcip.

– Nie w tym rzecz. Tu chodzi o nas.

Rzuciła ścierkę na stół, skrzyżowała ręce na piersi, przekrzywiła na bok głowę i spojrzała na niego.

– Nic nie rozumiesz, prawda?

– Najwidoczniej nie.

– To takie typowe.

– Co ja takiego znowu zrobiłem?

– Nic, absolutnie nic – warknęła, biorąc się pod biodra. Zanim zdążył otworzyć usta, podniosła do góry dłoń, nakazując milczenie. – Nieważne. Powiedzmy, że odchodzę, ponieważ nie możemy tak tego dłużej ciągnąć.

– Czego? – zdziwił się, czując się, jakby nagle w greckiej restauracji kelner zaczął mówić do niego po chińsku.

– Nie możemy tak żyć.

– Ale dlaczego? Co ci się nie podoba? – Jak to możliwe, że po raz pierwszy go nie rozumiała?

– Zachowujemy się jak stare małżeństwo, nie korzystając z tego, co w związku jest dobre i wspaniałe, jak na przykład... seks.

Natychmiast stanął mu przed oczyma obraz Kary w skąpej, zmysłowej koszulce nocnej, rozpalając do czerwoności zmysły i rozbudzając jego męskość. Musiał przed sobą przyznać, że jeszcze do wczoraj nie dostrzegał w swej asystentce obiektu pożądania. Powoli jednak zaczynał zmieniać zdanie.

– Chcesz, żebyśmy uprawiali seks?

Kara jęknęła sfrustrowana, zdjęła spinkę i zaczęła rozcierać miejsce po niej. Potrząsnęła głową. Gęste brązowe włosy opadły jej na twarz i ramiona miękkimi falami, budząc w Cooperze chęć pogładzenia ich.

Może seks to całkiem dobry pomysł, zastanowił się.

– Chcę nie tylko seksu. Pragnę czegoś więcej – wyrzuciła z siebie. – Marzę o mężu,

dzieciach i domu. Jestem twoją asystentką od pięciu lat i jedyne, co z tego mam, to względnie zasobne konto bankowe oraz kilka nowych przepisów kulinarnych.

– Źle ci się u mnie pracuje? O to chodzi?

– Wprost przeciwnie – warknęła z irytacją. – Było mi tak dobrze i wygodnie, że nie zauważyłam, że moje życie zmierza w ślepy zaułek – Co widzisz złego w wygodnym życiu?

– spieszył się, nabierając przekonania, że Kara nie żartuje i naprawdę chce odejść. W jej oczach dostrzegł żal. Znał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że jeśli podjęła decyzję, nie było od niej odwołania.

Myśl, że mógłby ją stracić, przeraziła go.

– Nic – odrzekła. – Jeśli tobie to wystarcza, w porządku. Dla mnie to za mało.

– Zaczekaj – poprosił, czując, że serce wyrywa mu się z piersi. – Nic z tego nie rozumiem. Myślałem, że wszystko między nami doskonale się układa.

– No oczywiście. – Uniosła ze złością do góry ręce, po czym opuściła je z impetem. – Z twojego punktu widzenia niewątpliwie jest wspaniale. Wszystkim się za ciebie zajmuję. Płacę rachunki, rozmawiam z wydawcami, załatwiam reklamę, odbieram rzeczy z pralni. Beze mnie nie potrafisz nawet zrobić porządnej kawy.

– Przesadzasz – obruszył się, wiedząc, że ma rację. Spojrzał na nią, jakby ją zobaczył pierwszy raz w życiu. Przez te pięć lat, które ze sobą spędzili, Kara była zawsze spokojna i rozsądna. Nowa Kara, która przed nim stała, aż cała iskrzyła.

Co było nawet zmysłowe, pomyślał.

– To nie do końca twoja wina – oświadczyła. – Sama sobie na to zapracowałam.

– No tak, bo we wszystkim, co robisz, jesteś doskonała – uśmiechnął się, starając się rozjaśnić jej spojrzenie. Gdy mu się nie udało, poczuł w sercu przykry zawód.

– Co powiesz na podwyżkę? Czy poprawiłaby ci nastrój?

– Nie! – krzyknęła ze złością. – Tu nie chodzi o pieniądze.

Chciał ją przytulić, ale odsunęła się.

– Nie możesz odejść, za bardzo cię potrzebuję.

– Dlatego właśnie muszę! – wychrypięła, ciężko łapiąc oddech. – Zrozum, jeśli nadał będę się zachowywała jak twoja żona, nigdy naprawdę nie wyjdę za mąż.

Płonące w jej oczach ogniki błyskały jak światło latarni morskiej ostrzegające statki, że zbliżają się do brzegu.

– Jesteś przemęczona. Powinnaś się przespać. Wrócimy do rozmowy rano, kiedy się uspokoisz.

– Wrrr... – warknęła, zbierając do tyłu włosy. – Jestem zupełnie spokojna.

– To widać – przytaknął, odsuwając się od niej na bezpieczną odległość.

– Doprowadzasz mnie do szału. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła zdecydowanym krokiem do salonu. Zanim weszła na schody, odwróciła się i posłała mu mrożące spojrzenie. – Mam nadzieję, że dotarło do ciebie. Nie zmienię zdania. Odchodzę.

Pomaszerowała na górę, stąpając z łoskotem, jakby prowadziła do boju armię najeźdźców. To tylko utwierdziło Coopera w przekonaniu, że była zbyt zdenerwowana, aby podejmować poważne decyzje. Kiedy trzasnęła głośno drzwiami sypialni, wzdrygnął się.

Rano poczuje się lepiej, doszedł do wniosku. Jakoś ją przekona. Wróci jej rozsądek. Dlaczego w takim razie tak bardzo się niepokoił całą tą sytuacją?

Kiedy ciszę nocy przeszyły znajome jęki, Kara jeszcze nie spała. Stłumiony szloch zdawał się wydobywać ze ścian, otaczając ją morzem bólu, który był tak wielki, że przetrwał kilka stuleci. Do sypialni wdarł się powiew chłodu, otaczając Karę westchnieniami.

Niezależnie od tego, co myślał Cooper, to nie był żart. Powinna więc teraz umierać ze strachu i uciec z krzykiem ze starego domu, zostawiając w nim ducha. Ona jednak nie odczuwała lęku. Jej serce wypełniało współczucie.

Siedząc na łóżku, zaczęła rozcierać zmarznięte, nagie ramiona. Po policzkach płynęły jej łzy. Ogarnął ją smutek, zrobiło jej się żal kobiety, która umarła z miłości. Kara zdała sobie sprawę, że wiele ją z nią łączyło.

Chociaż może nie tak wiele.

W końcu ona była jeszcze żywa.

Kobieta czekała na miłość, aż umarła z rozpacz. Ona czekała, aż Cooper dostrzeże, jak jest im razem dobrze. Zjawa pozwoliła, aby za życia zabiło ją niespełnione pragnienie. Kara postanowiła, że nie popełni tego samego błędu.

– Tak bardzo mi przykro – wyszeptała, rozglądając się po pokoju pełnym cieni. – Żal mi nas obu – wyznała.

Cooper nie spał. Starał się pracować. Gdy nagle usłyszał żalony szloch, aż podskoczył w miejscu. Podenerwowany rezygnacją Kary, od kilku godzin nie mógł napisać sensownego słowa. Przez cały czas myślał tylko o niej. Zastanawiał się, jak na nią wpłynąć, żeby zmieniła zdanie.

Jęki ocaliły go, odwracając uwagę od dręczącego go problemu. Błyskawicznie podniósł się z krzesła i pobiegł do drzwi. Szarpnął je i wyskoczył do holu. Zatrzymał się, czekając, aż pojawi się Kara, tak jak to było ubiegłej nocy. Oczami wyobraźni ujrzał jej potargane włosy i opalone, półnagie ciało zakryte jedynie skąpą koszulką. Drzwi jej sypialni jednak się nie otworzyły. Czyżby nie usłyszała zawodzenia? Niemożliwe. Po prostu unikała go. Ta myśl głęboko go ubodła. Rzucił gniewne spojrzenie w stronę jej pokoju. Dlaczego, do licha, uparła się, żeby odejść? Jak może go tak zostawić?

Mamrocząc pod nosem, ruszył samotnie na dół, do głównego holu, idąc za przepływającym przez dom płaczem. Nie obchodziła go historia, którą opowiedział im Jeremiaś. Nie wierzył w duchy. Zamierzał przyłapać przeklętego żartownisia na gorącym uczynku.

Nie zapalił światła, bez trudu odnajdując w mroku drogę, gdyż przez okna sączyło się jasne światło księżycy. Czuł chłód drewnianej podłogi pod bosymi stopami. Posuwał się prawie bezszelestnie, zdecydowany raz na zawsze położyć kres zabawie w duchy.

Poprzedniej nocy była z nim Kara. Teraz bardzo mu jej brakowało. Tęsknił za dotykiem jej dłoni, którą wczoraj trzymał, kiedy przemykali się w ciemności nocy. Tęsknił za... poczuciem bezpieczeństwa, które dawała mu praca z nią.

Nie, nie pozwoli jej odejść!

Pohamowując napad złości, skoncentrował uwagę na żalonych jękach rozbrzmiewających wokół niego smutnym echem. Zeszłej nocy szlochcy zawiodły ich do saloniku. Dziś dochodziły zza frontowych drzwi.

– Chcesz, żebym otworzył drzwi? Założę się, że znajdę na werandzie pokładającego się ze śmiechu Mike’a Haneya – mruknął do siebie, uśmiechając się.

Chwyił za klamkę i szarpnął drzwi, licząc, że ujrzy przed sobą dowcipnisią.

Na zewnątrz jednak nikogo nie było. Zrobił krok do przodu i stanął jak zamurowany.

Niewidoczna ściana lodowatego zimna zablokowała mu przejście.

Jak tonący Cooper z trudem chwycił powietrze. Serce biło mu w piersi jak oszalałe, jakby chciało rozsadzić tors. Wzdłuż kręgosłupa przebiegały przeszywające dreszcze, ścisnęło go w gardle i zaschło mu w ustach.

Mur zimna stał nieporuszony, jakby zawsze tu był. Otoczyły go przybierające na sile jęki, które z każdą chwilą stawały się coraz bardziej żalodne i natrętne.

Na ciemny dotąd trawnik wylały się jaskrawe promienie księżyca. Sącząc się przez konary drzew, tworzyły przerażające koronkowe wzory, które tańczyły na wietrze.

– To nie jest Mike Haney – wyszeptał, pocierając czoło dłonią. Serce powoli odzyskiwało naturalny rytm uderzeń. To nie był żart. Ściana chłodu była zbyt realna, żeby ją zignorować lub wyjaśnić, skąd się wzięła. Cooper przyglądał się, jak wydychane przez niego powietrze tworzyło maleńkie chmurki pary tuż przed jego twarzą. To był duch! I to drugi.

Spóźniony kochanek?

Ściana zimna natarła na niego, próbując przedostać się do domu. Poczłł napierający, lodowaty dotyk na klatce piersiowej, jak gdyby ktoś go popychał. Dochodzące z domu lamentsy stały się głośniejsze i ostrzejsze, wywołując u pisarza gęsią skórę. Niespodziewanie przerodziły się w zdesperowany krzyk bólu podsycany złością i cierpieniem.

Pisanie o duchach to jedno, ale co innego mieszkanie z nimi pod jednym dachem.

– To o to tu chodzi? – spytał retorycznie. – Ona na ciebie czekała, a ty się spóźniłeś i teraz chcesz się dostać do jej domu?

Przeszył go nieprzyjemny dreszcz i ogarnął chłód. Ostatkiem woli zdecydował się pozostać i nie zamknąć drzwi. Gdyby udało mu się rozwiązać problem między duchami, może przestałyby jęczeć po nocach. Otworzył szerzej drzwi, cofnął się i wykonał ręką zapraszający gest.

– Wejdz. Znajdź swoją dziewczynę i przeproś ją lub zrób to, o co ci chodzi, cokolwiek by to było.

Niespodziewanie drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem z taką siłą, że cały dom zatrzęsł się w posadach. Cooper wypuścił z płuc powietrze. Nagle wokół zapanowała całkowita cisza. Ściana zimna została na zewnątrz, a szlochający w środku duch zamilkł. Pisarz poczuł się zupełnie zdezorientowany. W opowieści Jeremiaha zjawa czekała na swego kochanka przez sto pięćdziesiąt lat. Teraz, kiedy wrócił, nie chciała go wpuścić. Kobiety!

– Jest uparty jak osioł – powiedziała Kara ponuro i przełamała na pół zieloną fasolkę.

– Uwierz mi, wiem, co czujesz – odparła Maggie, uśmiechając się łagodnie.

– Nie sędzę. – Wstała od stołu rozstawionego pod dębem w ogrodzie dziadka Coopera. Przyjechała porozmawiać z narzeczoną Sama, gdyż powoli zaczynała popadać w obłąd.

Lonergan praktycznie od kilku dni z nią nie rozmawiał. Nie przyjął do wiadomości faktu, że zamierzała odejść. Ilekroć sugerowała mu, że powinien zacząć szukać sobie tymczasowego zastępstwa, zanim znajdzie kogoś na stałe, uśmiechał się do niej wyrozumiale. Nie słuchał jej. Nie wziął na serio jej deklaracji.

– Upór to cecha wrodzona wszystkich Lonerganów, wiem coś o tym – wyjaśniła Maggie, opierając się wygodnie w krześle i wyciągając przed siebie nogi.

Kara odgarnęła opadające na twarz włosy, które rozwiał wiatr przynoszący zapach oceanu. Wciągnęła głęboko powietrze, po czym wolno je wypuściła, starając się uspokoić. Nic to jednak nie pomogło.

Potała dłonią szczypiące oczy. Od kilku godzin łupało ją w głowie i bolały wszystkie mięśnie. Wynik braku snu. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Duch niezmordowanie wyl przez trzy ostatnie noce. Kara budziła się i wsłuchiwała w zawodzenia nieszczęśliwej kobiety płaczącej za utraconą miłością. Odnosiła wrażenie, jakby zjawa chciała jej coś przekazać. Ostrzec ją. Nie pozwól, aby i ciebie to spotkało, wydawała się mówić.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, po prostu jestem zmęczona – wyznała z wymuszonym uśmiechem.

– Problem z duchami?

– Wierzysz w nie? – zdziwiła się.

– Tak – odparła Maggie, wstając i podchodząc do Kary. – Miłość jest najsilniejszym z uczuć. Dlaczego nie miałyby trwać wiecznie, nawet gdy ciała odejdą?

– Tak bardzo żal mi tej kobiety. Nie tylko ją słyszę, ale czuję również jej ból. Jej smutek jest tak głęboki, tak obezwładniający, że... – zaczynam wierzyć, że chce się ze mną skomunikować, dodała w myślach. Zachichotała nerwowo i pokręciła głową, odpychając te nedorzeczne urojenia. – Muszę się po prostu wyspać.

– Jesteś pewna, że to tylko zmęczenie? – Spojrzenie ciemnych oczu Maggie wyrażało niepokój. – Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę. Mogłabym cię zabrać do miasta, żeby Sam cię zbadał w gabinecie.

Kara poczuła nieprzyjemne ssanie w żołądku. Nie miała ochoty na wizytę u lekarza. Pragnęła jedynie stąd wyjechać. Zostawić Coopera, zapomnieć o nim i podjąć próbę ułożenia sobie życia.

– Naprawdę nic mi nie jest – uśmiechnęła się sztucznie i dodała: – Właściwie to przyjechałam tu, żeby cię o coś poprosić.

– Mów, śmiało.

– Cooper nie przyjmuje do wiadomości, że zamierzam odejść.

– Mhm...

– Jedyne, co mi w tej sytuacji pozostaje, to po prostu go zostawić.

– Naprawdę tego pragniesz?

– Muszę to zrobić – powiedziała Kara twardo, nie mając pewności, kogo bardziej stara się

o tym przekonać, Maggie czy siebie. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? – Chciałam dać mu wymówienie z dwutygodniowym terminem wypowiedzenia, ale on mnie w ogóle nie słucha, uznałam więc, że to nie ma sensu. Tak czy inaczej, dopóki nie znajdzie zastępstwa na moje miejsce, będzie musiał radzić sobie sam, a to oznacza, że jeśli nikt mu nie przypomni o jedzeniu, prawdopodobnie umrze z głodu.

– Zależy ci na nim?

– W sensie ogólnoludzkim – odparła, starając się zlekceważyć pytanie Maggie. – Od pięciu lat organizuję mu życie. Beze mnie będzie zagubiony. – Tak jak ja bez niego, przemknęło jej przez myśl. – Dlatego chciałabym cię poprosić, żebyś do niego zajrzała od czasu do czasu i sprawdziła, czy wszystko jest w porządku i czy ma w lodówce coś oprócz mrożonych burritos.

Maggie przez dłuższą chwilę wpatrywała się uważnie w twarz Kary.

– Oczywiście, nie ma sprawy, pod warunkiem że odpowiesz mi szczerze na jedno pytanie.

– Jakie? – westchnęła.

– Dlaczego nie powiesz Cooperowi, że jesteś w nim zakochana?

Zaskoczona Kara najpierw chciała zaprzeczyć. Jednak widząc pełną zrozumienia minę Maggie, postanowiła wyjawić prawdę. Nic przez to nie straci. Rozmasowała czoło, starając się ukoić pulsujący w głowie ból, i wyznała:

– On nie chce się tego dowiedzieć.

– Uważasz, że można uciec od miłości? – Maggie położyła dłoń na ramieniu Kary.

– Muszę, póki jeszcze mam siłę – wyszeptwała smutno.

Cooper czekał na nią.

W kuchni panował półmrok. Na stole stały zapalone świece. Ich płomienie kołysały się delikatnie pod wpływem ruchu powietrza. Z salonu sączyła się cichutko muzyka jazzowa. Obiad był przygotowany. Sam ugotował makaron. Czekają też otwarte wino, nabierając aromatu.

Przez ostatnie kilka dni wiele myślał. Głównie dlatego, że nie był w stanie nic robić. Nie mógł się skoncentrować na pisaniu. Nie rozmawiał z Karą, bo obawiał się, że będzie drażyła temat odejścia z pracy. Tego wieczoru postanowił podjąć działania.

Kara weszła do kuchni, zamknęła drzwi i wbiła w niego uważne spojrzenie. Odpowiedział jej tym samym. Miała potargane wiatrem włosy. Zielone oczy jarzyły iskierkami. Ubrana była w wytarte dżinsowe szorty, bladożółty top i białe sandały. Wyglądała uroczo. – Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważył? W którym momencie przestał dostrzegać wokół siebie ludzi? Czyżby naprawdę stał się tak wyobcowany, żeby nie zauważyć kobiety, która organizowała mu całe życie?

– Coś się stało? – spytała.

– Słucham?

– Co się dzieje?

– Nic. – Pokręcił głową, postanawiając przystąpić do realizacji planu. – Wszystko w

porządku.

– To dobrze. Gotowałeś? – zdziwiła się, pociągając nosem.

– Przeciwnie, stawiając się panującej o mnie opinii, postanowiłem udowodnić, że nie jestem kompletnym nieudacznikiem.

– Makaron?

– Z kurczakiem – oświadczył triumfalnie.

– Innowacja w naszym jadłospisie – uśmiechnęła się. – Co ty knujesz?

Cooper podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach. Zajrzała mu głęboko w oczy i coś w jego mózgu zaskoczyło. Nie wiedział dokładnie co, ale zrozumiał, że to ważne. Zastanowi się nad tym później.

– Co ty wyrabiasz?

– Myślałem trochę.

– Chyba powiadomię o tym media – zażartowała.

– Ale śmieszne – obruszył się. Przyciągnął ją bliżej do siebie i ucieszył się, dostrzegając w jej oczach zaskoczenie. – Chyba już wiem, na czym polega problem między nami...

– Masz na myśli fakt, że odchodzę, a ty nie przyjmujesz tego do wiadomości? – prychnęła.

– Nie, ten drugi problem.

– To jest jeszcze jeden?

– Tak sądzę.

– Więc może uświadomisz mi jaki – zażądała. Cooper odniósł wrażenie, że nie wiedziała, czy się do niego przysunąć, czy wyrwać z uścisku.

– Niezaspokojone pożądanie seksualne – mruknął, a jego spojrzenie zatrzymało się na jej twarzy, powędrowało na usta, na dolną wargę, którą przygryzała, gdy ją coś trapiło. Dokładnie tak, jak zrobiła to teraz.

– Pozwolisz, żebym cię pocałował?

Kara przez dłuższą chwilę milczała, po czym uważnie na niego spojrzała.

– Mówisz poważnie?

Przyciągnął jej biodra blisko do siebie, pozwalając poczuć, że nie żartuje. Żrenice jej zielonych oczu rozszerzyły się i zaczęła szybciej oddychać. Opuścił spojrzenie na jej piersi, których sutki uwypukliły się na koszulce. Ogarnęło go niepohamowane pożądanie, znacznie silniejsze, gorętsze i zachłannniejsze, niż mógł sobie wyobrazić. Wtulona w niego, tak doskonale pasowała do jego ciała. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważył? Dlaczego tak późno przyszedł mu do głowy ten wspomniały plan?

Pragnęła go, wyczytał to w jej oczach. On również jej pożądał. Nie było nic prostszego, niż dać sobie nawzajem rozkosz. Po seksie przestanie mówić o odejściu i wszystko wróci do normy.

Błyskotliwe!

– Więc? – Odgarnął jej włosy z twarzy, musnął palcami policzek. Zadrżała, a on się uśmiechnął. – Co powiesz na rozładowanie napięcia między nami?

– Muszę cię ostrzec. Jestem bardzo, bardzo spięta – wyszeptała. Jej ręka zaczęła błądzić

po jego torsie, aż dotarła do szyi. – To może nam zabrać wiele czasu.

Uśmiechnął się i pocałował ją, raz, potem drugi, doznając zadziwiającej rozkoszy.

– Więc nie traćmy go więcej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Karze zakręciło się w głowie. Ostry ból przeszywał jej skronie i ścisnęło ją w żołądku.

Wszystkie dolegliwości jednak odeszły, gdy poczuła dotyk jego ust. Spełniły się jej marzenia. Westchnęła i z lubością poddała się obezwładniającej rozkoszy. Rozchyliła wargi i przyjęła jego gorący pocałunek.

Cooper objął ją w talii i przyciągnął mocno do siebie. Przywarła do niego całym ciałem, czując na brzuchu jego twardą męskość. Zadrżała z podniecenia. Pragnęła tego od tak dawna, że trudno jej było uwierzyć, że to się naprawdę dzieje.

Być może nie powinna ulegać oszalałym zmysłom. Powinna wyrwać się z jego ramion i zakończyć fantazje. Bez zastanowienia pozbyła się wyrzutów, oddając się bez reszty upojnej chwili.

Dłoń pisarza, błędząc po jej plecach, dotarła do karku. Palce z lubością zatopiły się w jej bujnych włosach. Kara jęknęła, przytuliła się mocniej, pragnąc brać i dawać coraz więcej.

Czające się gdzieś w zakamarkach umysłu wątpliwości krzyczały, że powinna zachowywać się racjonalnie. Myśleć. Ale ona nie chciała się zastanawiać. Już nie. Pragnęła tylko czuć. Nie miały znaczenia ból, silne zawroty głowy, podchodzący do gardła żołądek. Tak długo o tym marzyła i fantazjowała, że teraz nawet dzuma by jej nie powstrzymała. Tym bardziej że rzeczywistość okazała się sto razy lepsza od wyobrażeń.

Oderwał na moment usta od jej warg i zaczął całować szyję. Delikatne pieszczoty jego zębów przyprawiały ją o drzenie i zalewały falami rozkosznego ciepła. Poczula na skórze jego gorący oddech.

– Obiad może poczekać, chodźmy na górę – usłyszała stłumiony szept.

Kiedy wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni, odezwał się w niej głos zdrowego rozsądku, wysyłając serię znaków ostrzegawczych.

Zamierzasz odejść. Powiedziałaś mu o tym. Gdzie konsekwencja? Co ty wyrabiasz? Po tym wszystkim będzie ci jeszcze trudniej żyć bez niego.

Być może, przyznała, ale skoro go kocham, jak mogłabym nie wykorzystać takiej sytuacji, żeby mieć go tylko dla siebie, choćby tylko przez jedną noc.

Cooper przyspieszył, ciągnąc ją za sobą po schodach, tak że ledwie mogła za nim nadążyć. Potykając się, starała się dorównać mu kroku. Na górze gwałtownie skręcił w prawo, wpadł do sypialni i zatrzasnął drzwi. Znaleźli się sami w dużym, cichym pokoju.

Delikatny wiaterek poruszał wiszącymi w oknach zasłonami. W powietrzu unosił się ostry zapach pelargonii, mieszając się z subtelnym aromatem letnich róż. Kara nawet tego nie zauważyła. Dla niej istniał już tylko Cooper, który patrzył na nią tak, jak sobie wymarzyła. Pożerał ją wzrokiem. Nic więcej nie miało znaczenia. Jego ciemne oczy płonęły ogniem, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Cóż z tego, że nie czuł do niej tego samego, co ona do niego. Teraz liczyła się tylko ta chwila, ta sypialnia, ten mężczyzna.

Lonergan chwycił krawędź jej koszulki i jednym sprawnym ruchem zdjął ją przez głowę,

rzucając na podłogę.

– Wspaniałe – mruknął, odpinając jej stanik i ściągając go z ramion. Jego dłonie odnalazły nagie piersi i zaczęły pieścić sutki. Kara usłyszała jęk rozkoszy i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że pochodził z jej gardła. Ręce Coopera przesunęły się niżej w kierunku talii. Objął ją mocno i położył na łóżku, po czym wstał i spojrział na nią z zadowoleniem.

– Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego nie robiliśmy tego nigdy wcześniej – powiedział, uśmiechając się.

– Ani ja – odparła, wyciągając do niego ramiona. Pochylił się nad nią, zdjął jej szorty, po czym przez dłuższą chwilę podziwiał białe, koronkowe majteczki.

– Gdybym wiedział, że nosisz takie чудо pod codziennym, skromnym ubraniem, na pewno nie czekałbym pięciu lat na tę chwilę.

Jego szczery zachwyty przyćmił na moment dokuczliwy ból pulsujący w jej w skroniach. Pragnęła go od tak dawna. Tyle razy śniła o tej chwili, fantazjowała, że chciała ją zapamiętać na zawsze. Każdy dreszcz, każdy dotyk, każdy obraz. Wpisać w pamięć wszystkie uczucia, chropowaty ton jego głosu, żar jego oczu.

Palce Coopera wślizgnęły się pod delikatny materiał i powoli, zmysłowo zsunęły majtki, pieszcząc czule jej biodra i uda.

Przygryzła wargę i niecierpliwie wsunęła się głębiej na łóżko. Przyglądała mu się głodnym, niezaspokojonym wzrokiem, jak pospiesznie zdejmował ubranie. Był wspaniały.

Miał opaloną skórę i ciało wyrzeźbione jak grecki posąg. Ukłąkł nad nią, wywołując w niej lubieżny dreszcz. Mimowolnie jej dłonie zaczęły gładzić jego tors i ramiona. Pod wpływem tego dotyku Cooper jęknął przez zaciśnięte zęby, z podniecenia z trudem łapiąc oddech. Pochylił się i chciwie zaczął całować sterczące sutki.

Kara poczuła, że kręci jej się w głowie, i mocno się przytuliła, szukając w jego ramionach oparcia. Przyłgnęła do niego, poddając się jego wspaniałym pieszczotom. Jedna po drugiej zalewały ją fale nienasyconego pożądania.

Lonergan uniósł się nieznacznie i odnalazł jej usta, wpijając się w nie pełnym pasji pocałunkiem. Jego lewa dłoń powędrowała powoli w dół, trafiając pomiędzy jej uda i odkrywając cudowną wilgoć podniecenia. Delikatne pieszczoty, którymi ją obdarzał, wstrząsnęły ciałem Kary, podsycając rozkosz. Pod wpływem cudownego dotyku zaczęła kołysać biodrami, czekając na spełnienie. On jednak w ostatniej chwili przerwał pieszczoty, pozostawiając ją rozpaloną i oczekującą.

– Cooper – wyjąkała, odrywając na moment usta od jego warg i z trudnością łapiąc oddech. – Ja...

– Ja również – mruknął, zaglądając jej w oczy, w których odbijało się pożądanie. – Chcę zobaczyć, jak wznosisz się na szczyt rozkoszy.

– Nie. – Pokręciła głową, uśmiechając się. – Chcę cię poczuć w środku, teraz, proszę.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – powiedział, całując ją.

Zaśmiała się i objęła jego twarz rękoma.

– Jeszcze nie – wyszeptwała, czując jego palce w najczulszym miejscu.

Cooper z trudnością przełknął ślinę, po czym oderwał się od niej, sięgając do szuflady

nocnego stolika. Wyjął małą paczuszkę i pospiesznie nałożył zabezpieczenie. Nim minęła chwila, znów tulił ją w ramionach i pieścił, wsuwając się wolno między jej uda. Pragnęła poczuć go w sobie głęboko, mocno, namiętnie. Jęknęła, przyjmując go zachłannie. Jej ciało przeszła seria cudownych dreszczy.

– To jest takie cudowne – jęknęła, odchylając do tyłu głowę i poddając się zalewającej ją rozkoszy.

W pokoju panowała absolutna cisza. Słysząc było jedynie ich zmęczone, przyspieszone oddechy. Leżeli przytuleni. Nagle Kara poruszyła się.

– Aj... – jęknęła.

Cooper objął ją mocniej, czując, że znów ogarnia go pożądanie. Ta reakcja zaskoczyła go. Nie spodziewał się, że tak szybko będzie jej znów pragnął.

– Puść mnie – wymamrotała.

– Jeszcze nie. – Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. – Przyznam, że bardzo mi się podoba, kiedy tu jesteś.

Kara potrząsnęła głową i z trudem wciągnęła powietrze przez nos.

– Muszę...

– Ja też wiele rzeczy muszę...

– Nie – warknęła. Jej spojrzenie nabrało dzikości. Wyrwała się z jego objęć, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do znajdującej się w holu łazienki. Nie zamknęła za sobą drzwi i po chwili Cooper usłyszał, jak wymiotuje.

Zmartwiony poszedł sprawdzić, co się stało. Kiedy stanął w drzwiach, ujrzał ją pochyloną nad umywalką i z trudem łapiącą powietrze.

– Jeśli to jest twoja reakcja na moje umiejętności kochanka, chciałbym cię poinformować, że nigdy wcześniej nie miałem tego typu reklamacji – zażartował.

Zawstydzona, odgarnęła opadające na twarz włosy i burknęła:

– Wyjdź stąd.

– Wszystko w porządku? – spytał, zbliżył się i ukląkł przy niej.

– Jak widać nie! – prychnęła. – Ooo, nie... – Rzuciła się ponownie do toalety.

Trzymając się kurczowo krawędzi sedesu, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Jak to możliwe, że w przeciągu zaledwie kilku minut wspaniały, pełen cudownych uniesień świat przekształcił się w nędzne bagno upokorzenia? Dlaczego musiała się rozchorować w tak niezwyklej chwili?

– Spokojnie – wyszeptał Cooper. Przytrzymał jej z tyłu włosy i zaczął pocieszać, opowiadając jakieś bezsensowne historie, kiedy ona wyrzucała z siebie całą zawartość żołądka.

Po dłuższej chwili, gdy udało jej się na moment odzyskać oddech, wyjąkała:

– Proszę, jeśli w jakikolwiek sposób zależy ci na mnie, zostaw mnie tu samą.

Cooper bezczelnie zachichotał. Poszedł do umywalki i po chwili wrócił ze zmoczonym ręcznikiem, który przyłożył jej do czoła, kiedy nadeszła kolejna fala wymiotów. Mdłości w końcu ustąpiły. Kara miała już tylko ochotę położyć się na zimnej terakocie. Cooper wziął ją

na ręce i zaniósł do swojego łóżka.

Łupało ją w głowie, w ustach czuła niesmak i trzęsła się z zimna. Półświadoma nie potrafiła się nawet cieszyć, że jest w ramionach ukochanego. Takie rzeczy były teraz poza nią. Poczyniła jeszcze jedną próbę, żeby uciec do swojego pokoju.

– Muszę się przespać – powiedziała słabym głosem, starając się podnieść, ale zaraz potem bezwładnie opadając na łóżko.

– Oczywiście – zgodził się, pomagając jej włożyć szlafrok. Wysunął spod niej kołdrę i czule ją przykrył.

Nagle zrobił się taki miły. A ona była zbyt słaba i upokorzona, żeby zaprotestować. Los boleśnie sobie z niej zakpił. Od tak dawna go pragnęła, a on aż do dziś nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Teraz, kiedy w końcu znalazła się w jego ramionach, zakończyła upojną noc w toalecie przytulona do sedesu.

Żałosne.

– Jesteś rozpalona – zaniepokoił się Cooper, przykładając dłoń do jej czoła.

– Ależ skąd. Jest mi strasznie zimno – oświadczyła, zagrzebując się głębiej pod kołdrą i starając się powstrzymać przed szczękaniem zębami.

– No tak. Leż spokojnie. Zadzwoń po Sama.

– Jak to? – zdziwiła się, spoglądając na niego. Stał nad nią nagi i wspaniały, a ona nawet nie potrafiła się tym cieszyć.

– Jest lekarzem. Będzie wiedział, co robić.

– Nie potrzebuję lekarza. Raczej przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Bardzo zabawne.

Podniósł z podłogi dzinsy i wciągnął je, nie kłopotząc się zapięciem zamka. Przeczesał palcami włosy i skierował się do drzwi.

– Zaraz wracam.

Minęła godzina. Sam i Cooper stali w kuchni. Świece, które paliły się, kiedy Kara wróciła do domu, zgasły w kałużach wosku. Makaron znajdujący się w misce na stole dawno wystygł. W powietrzu nadal unosił się aromat czosnku.

– Na pewno nic jej nie będzie?

– Zaufaj mi – poprosił Sam, zamykając czarną skórzaną torbę. – Ma grypę. Za kilka dni wyzdrowieje. Musi dużo odpoczywać i sporo pić.

– I to wszystko? – Spojrzał z wyrzutem na kuzyna. – Studiowałeś przez tyle lat medycynę i tylko tyle masz do zaproponowania?

– Jeśli dobrze pamiętam, to ty zadzwoniłeś po moją poradę.

– No tak – sapnął. Nie podobało mu się to wszystko. Lubił, kiedy Kara się krzątała i denerwowała go, rozstawiając po kątach. Jej obecny stan bardzo go niepokoił. – Może powinna coś zjeść?

– Najwcześniej jutro i tylko lekkie potrawy. Rosół z kurczaka i biszkopty.

Sam popatrzył na Coopera i pokręcił głową.

– Lepiej znajdę pielęgniarkę, która się zajmie twoją asystentką.

– Nie ma potrzeby, sam się nią zaopiekuję.

– Jesteś pewien? – spytał z niedowierzaniem. Trudno było go o to winić.

Cooper nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu pomagał komuś z własnej woli. Był żalonym egoistą, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Od czasu wypadku piętnaście lat temu zrobił wszystko, aby trzymać się na bezpieczny dystans od rasy ludzkiej. Na początku było to celowe. Odsunął się nie tylko od swoich kuzynów, ale od rodziców, dziadków i przyjaciół.

Po kilku latach nie potrafił się już do nikogo zbliżyć. Ułożył sobie wygodne życie, odgradzając się murem od ludzi, i nigdy nie starał się tego zmienić. Tak było bezpieczniej i łatwiej.

Aż do dziś.

Ale teraz to było co innego.

Dotyczyło to Kary.

– W końcu to żadna filozofia – naburmuszył się, wpychając ręce w kieszenie dżinsów i kołysząc się na piętach.

– Potrafię zająć się domem i chorą kobietą.

– No dobrze. – Sam pokiwał głową i rzucił mu uważne spojrzenie, jakby do końca nie miał pewności, czy Cooper wie, co mówi. Wzruszył ramionami i dodał: – Maggie na pewno będzie chciała jutro spać, żeby sprawdzić, jak się Kara czuje.

– Nie musi, ale dziękuję.

– Idę – powiedział Sam, kierując się do drzwi. Otworzył je, po czym zatrzymał się w progu i rzucił przez ramię:

– Ty też powinienesz odpocząć. Okropnie wyglądasz.

Cooper zlekceważył sugestię Sama i kiedy ten tylko wyszedł, postawił czajnik z wodą na starodawnej kuchence. Przeszukał szafki, odnalazł kubki i herbatę jaśminową, którą Kara kupiła w miasteczku pierwszego dnia po przyjeździe. Opierając się o stół, spojrzał w okno. Na dworze panowała ciemna noc. W szybie dostrzegł swoje odbicie i doszedł do wniosku, że Sam miał rację. Faktycznie wyglądał nie najlepiej. Miał ponurą minę, a z oczu przebijał wyraz niepokoju. Nic dziwnego. Było oczywiste, że martwił się stanem zdrowia Kary. W końcu była częścią jego życia. A dziś stała się kimś ważniejszym.

Tuż przed nim przemknęła fala zimnego powietrza, wywołując nieprzyjemny dreszcz. Cooper nie odrywał spojrzenia od szyby. Woda w czajniku zaczęła bulgotać i wtedy niespodziewanie dostrzegł poruszający się białawy cień, który przeniknął przez szybę i się ulotnił.

Pisarz powoli wyprostował się i nie zwracając uwagi na szum czajnika, rozejrzał się po pustej kuchni. Nawet się nie zdziwił, gdy powietrze przeszło ciężkie, smutne westchnienie. Czajnik gwizdał coraz głośniejsze, dźwięcząc w głowie Coopera, jakby ktoś piłował mu mózg. W końcu podszedł do kuchenki i podniósł przykrywkę, żeby przerwać nieprzyjemne świsty. Zalał wrzątkiem herbatę. Po kuchni rozszedł się przyjemny kwiatowy aromat. Zostawiając napój, aby się dobrze zaparzył, poszedł do saloniku po biszkopty. Wbrew zaleceniom Sama uznał, że Kara może być głodna, i chciał być przygotowany. Kiedy herbata była gotowa, a

biszkopty ułożone na talerzyku, ustawił wszystko na tacy i rozejrzał się po pokoju.

– Jeszcze tu jesteś? – rzucił w powietrze. Dziwne, rozmawiam z duchem, pomyślał. Jeszcze bardziej zastanawiające było to, że oczekiwał odpowiedzi.

Zaczekał chwilę, a kiedy nic się nie wydarzyło, ruszył na górę. Zatrzymał się w drzwiach sypialni. W wąłym świetle nocnej lampki dostrzegł twardo śpiącą Karę.

Wszedł do pokoju, odstawił tacę na toaletkę i przysunął bliżej łóżka stojący pod ścianą fotel. Usadowił się w nim wygodnie i wtedy poczuł na ramieniu lodowaty powiew. Na moment zamarł w zadumie.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś dziś nie jęczała – wyszeptał. – Kara jest chora i musi się wyspać.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. W końcu obłok zimna wymknął się z sypialni, jakby nigdy go tam nie było.

Pisarz pokiwał głową i poprawił się w fotelu. Zamierzał czuwać przy chorej przez całą noc.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Otoczyła go żywa ścisną zimna, napierając na niego ze wszystkich stron, jakby chciała go wchłonąć. David poczuł, jak pożera kęs po kęsie jego serce i duszę. Nie mając siły jej powstrzymać, mógł tylko obserwować, jak bezkresny chłód wnika powoli w każdy centymetr jego ciała.

To jednak nie było wszystko. Wokół niego unosiła się tajemnicza moc. Mniej namacalna niż ściana chłodu, za to potężniejsza, bardziej podstępna, niepowstrzymana. Wypełniała go zapomnieniem, rozlewając w umyśle czarną plamę, która odbierała mu przeszłość i tożsamość.

Nie potrafił z nią walczyć.

Niespodziewanie ciszę przeszył rozdzierający krzyk...

Do licha, zaklął w duchu Lonergan.

– I co dalej? – spytał głośno, odchylając się do tyłu i spoglądając ze złością na ekran monitora, jakby maszyna złośliwie utrudniała mu pisanie. – Krzyk? A kto niby krzyczał i po co? – zdenerwował się.

Zazwyczaj kiedy przykładął palce do klawiatury, słowa same na poczekaniu układały się w historii. Nigdy nie planował wcześniej scen i wątków. Nie układał zarysu powieści, bo uważał, że w ten sposób odebrałby jej serce. Tu chodziło o spontaniczność. Poza tym lubił być zaskakiwany przez swoich bohaterów.

Teraz jednak nie był w stanie myśleć. Nie potrafił się skupić na powieści z powodu kobiety leżącej na górze w jego łóżku. Czuwając przy niej przez całą noc, udało mu się kilkakrotnie zapaść w krótką drzemkę. Jednak za każdym razem, kiedy Kara pojękiwała przez sen trawiona gorączką, natychmiast się budził.

W oczach czuł piasek, a powieki ciążyły mu jak kamienie. Rozdrażniony przetarł je dłońmi, wzmagając tylko pieczenie. Jak mógł spokojnie pisać powieść grozy, kiedy tak bardzo się martwił chorobą Kary? Czy grypa faktycznie daje aż takie objawy? Czy nie powinna już czuć się lepiej?

Nie spróbowała herbaty, którą jej zaniósł. Zzieleniała na widok biszkoptów, które jej zaoferował. A jeśli się odzywała, to tylko po to, żeby go odprawić.

Nie sprawdzał się jako pielęgniarza.

A może Sam był konowalem i ona potrzebowała czegoś więcej niż tylko odpoczynku?

Wstał od kuchennego stołu i ruszył do salonu, a następnie na górę, przeskakując w pośpiechu po dwa schodki. Skręcił do sypialni i delikatnie zapukał do drzwi, zanim je otworzył.

Kara odwróciła głowę na poduszce i spojrzała w jego kierunku. W dziennym świetle wydawała się jeszcze bardziej blada. Pod oczami miała wielkie fioletowe sińce. Wyglądała na wyczerpaną.

– Pozwól mi przynajmniej wrócić do mojego łóżka – jęknęła.

– Mowy nie ma – odparł, uśmiechając się. – Nie pozwolę ci opuścić mojej sypialni, dopóki nie nabierzesz sił.

Naciągnęła kołdrę pod brodę i zrobiła nadąsaną minę.

– Nie jestem dzieckiem – prychnęła.

– Zauważyłem.

– O nie... – jęknęła i zakryła się z głową.

– Co nie?

– Nie przypominaj mi o tym – wycedziła, wychylając nieznacznie twarz spod przykrycia, a jednocześnie zamykając oczy, tak jakby się wstydziła na niego spojrzeć. – Zapomnij o wszystkim, co się wydarzyło zeszłej nocy. Ja już to zrobiłam.

Jej słowa zaboląły go. Zadziwiająco, ile może się zmienić przez kilka godzin. Dopiero co tulił ją w ramionach, kochał się z nią, czując, że daje rozkosz, a następnego dnia niespodziewanie zachowują się jak obcy sobie ludzie.

Łatwe koleżeństwo, w którym żyli przez kilka lat, odeszło. Zniszczył je wspaiały seks, o którym ona teraz nie chciała pamiętać. Pięknie. Zmieniając istniejący układ, miał nadzieję, że ją zatrzyma. A wyglądało na to, że tylko przyspieszył jej odejście.

Leżała w jego łóżku i była bardziej niedostępna niż kiedykolwiek. Zdegustowany sobą i całą sytuacją powiedział:

– Wybieram się do miasteczka po zakupy.

– Świetnie, idź.

– Niedługo wrócę – poinformował, nie zwracając uwagi na jej dąsy. – Poproszę Maggie, żeby wpadła z tobą posiedzieć. Chcę mieć pewność, że nie uciekniesz z łóżka.

Kara otworzyła oczy i rzuciła mu krótkie spojrzenie.

– Nie przesadzaj. Potrafię przetrwać sama przez kilka godzin.

Cooper zignorował jej opryskliwy ton, dochodząc do wniosku, że ktoś, kto się źle czuje, ma prawo być zrzędlivy. On zawsze taki był. Ostatnio kiedy był chory, Kara nie odstępowala go ani na krok. Nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, że mogłoby jej wtedy przy nim nie być. Nie potrafił tego docenić. Jakim ja byłem idiotą, pomyślał.

– Bez dyskusji, Maggie i tak zostanie.

– Nie potrzebuję pielęgniarki. Muszę tylko dojść do siebie.

– Niedługo wyzdrowiejesz.

– Kiedy?

– Teraz zachowujesz się jak dziecko – zaśmiał się.

– Nic na to nie poradzę – burknęła. Wyciągnęła ręce na kołdrę i zaczęła się bawić wyciągniętą nitką. – Nie cierpię być chora i nie chcę, żebyś się mną opiekował.

– Ty dbałaś o mnie przez wiele lat – przypomniał jej. – Chciałbym ci się teraz odwdziaczyć.

– Słucasz dług? – westchnęła. – Pięknie. Jeszcze tego brakowało.

Co ja takiego znowu zrobiłem? – zastanowił się.

– Niedługo wracam.

– Niewątpliwie zaczekam tu na ciebie.

– Dobrze mu to robi – stwierdziła Maggie, poprawiając poduszkę pod głową Kary. Przeszła wzdłuż łóżka, rozprostowując kołdrę. Wpadające przez okno promienie słońca rozświetliły pasemka jej ciemnych włosów. – Może Cooper musi się poczuć potrzebny? – zauważyła z uśmiechem.

Kara miała co do tego wątpliwości. Od kiedy go poznała, nigdy nie zbliżał się do ludzi i nie starał się nikomu pomagać. Żaden z jego związków nie trwał dłużej niż kilka miesięcy. Aż do tych wakacji przez wiele lat nie odwiedzał nawet rodziny. I on niby chciał być potrzebny? W żadnym wypadku. Wprost przeciwnie, zawsze wydawało jej się, że robił wszystko, aby nie stać się dla kogoś ważnym i niezastąpionym.

– Wyprowadza mnie z równowagi – wyznała, czując kolejny nieprzyjemny skurecz żołądka. Przyłożyła dłoń do brzucha i ciężko przełknęła ślinę, obiecując sobie, że dziś już nie będzie więcej biegać do łazienki. – Ciągłe się tu kręci. Przynosi herbatę, której nie mogę wypić, i ciasteczka, które przyprawiają mnie o mdłości. A potem siada przy łóżku i wpatruje się we mnie, a przecież wyglądam odrażająco.

– Widocznie jest innego zdania – zachichotała Maggie, zajmując miejsce na krześle. – Martwi się o ciebie.

Kara bardzo by chciała, żeby to była prawda, ale rzeczywistość była zgoła inna. Szkoda złudzeń.

– On wcale się nie przejmuje – westchnęła głęboko. – Powiedział, że spłaca wobec mnie dług wdzięczności za te wszystkie lata, kiedy się nim opiekowałam.

– Naprawdę tak to ujął? – spytała Maggie, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Na dodatek czuje się winny, że rozchorowałam się zaraz po tym, jak... – wypnęło jej się. Nie było sensu przekształcać miłej towarzyskiej pogawędki w godzinę zwierzeń.

Maggie zrozumiała w pół słowa. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Poprawiła się na krześle i oparła nogi o kant łóżka.

– Ach... więc w końcu udało ci się zwrócić na siebie jego uwagę.

– Jasne. – Westchnęła z odrazą. – Trudno byłoby nie zauważyć kobiety, która przerywa uprawianie seksu i biegnie do łazienki z wymiotować.

– Fakt, okropne – skrzywiła się Maggie ze współczuciem. – I to tak w trakcie?

– Nie, zaraz po, kiedy właśnie zaczynaliśmy się cieszyć bliskością i cudownym zaspokojeniem.

– Och... uwielbiam ten moment – rozmarzyła się.

– Ja nie wiem, bo go nie przeżyłam.

– Następnym razem będzie lepiej – pocieszyła ją.

– Nie będzie następnego razu – oświadczyła Kara z niesmakiem. – Widział, jak wymiotuję, i podtrzymywał mi głowę. Żaden mężczyzna po takich przeżyciach nie spojrzalby na mnie namiętnie.

Maggie roześmiała się.

– Co cię tak bawi? – obruszyła się Kara.

– Nie przesadzaj – powiedziała, trącąc ją delikatnie stopą. – Sądzisz, że partnerzy nigdy nie widują się wzajemnie w takich lub jeszcze gorszych okolicznościach? Uwierz mi, mam

okropne mdłości codziennie rano i wieczorem i Sam zawsze jest wtedy przy mnie i... – przerwała i chrząknęła – zresztą nie o to chodzi.

– Masz rację. Tylko że wy jesteście w innej sytuacji. Jesteś w ciąży – wytknęła. – Nosisz dziecko Sama. Jest oczywiste, że nadal go pociągasz i że cię kocha.

– Tak – westchnęła Maggie z zadowoleniem. – Nie sądzisz, że Cooper jest w tobie zakochany?

Kara prychnęła i owinęła wokół palca nitkę, tak mocno, że aż się zaczerwieniła.

– Na pewno nie, choć bardzo bym chciała, żebyś miała rację.

W pokoju dało się słyszeć głośne westchnienie. Tym razem jakby głębsze i pełne udręki, płynące prosto z serca. Pojawiło się jakby znikąd, a jednocześnie sączyło się zewsząd.

Maggie jak zelektryzowana spuściła nogi na podłogę i wyprostowała się na krześle.

– Co to było?

– Przedstawiłabym ci ją, ale nie znam jej imienia. Nie będę komplikować. Maggie, poznaj Ducha, Duchu, to jest Maggie.

Powinien częściej robić zakupy w stoiskach ze świeżą żywnością. Kiedy był zdany sam na siebie, zwykle wpadał do sklepu, wrzucał do koszyka wszystkie mrożonki, które wydawały mu się jadalne, i uznawał zakupy za zakończone. Dziś przeszedł przez wszystkie alejki w supermarkecie i nawet zajrzał do działu mięsnego. Zadziwiające, jaką różnorodność towarów odkrył.

Załadował do bagażnika dwanaście toreb ze sprawunkami i zatrzasnął klapę. Rozejrzał się wokół. Na głównej ulicy Coleville panował błogi spokój. Życie toczyło się powoli. Po raz pierwszy poczuł, że wrócił do domu. Od kiedy wyjechał, bardzo niewiele się tu zmieniło, z czego w głębi duszy się ucieszył. Bez sensu. Unikał tego miejsca przez piętnaście lat, ponieważ bolały go wspomnienia, a teraz czuł zadowolenie i ulgę, że jest tu tak jak dawniej.

Zimny, ostry powiew oceanicznego powietrza łagodził letni upał. Cooper szedł do znajdującej się na rogu drogerii. Obok niego po chodniku przejechała dwójka rozpędzonych na deskorolkach dzieci, klekocząc kółkami głośno o beton. Starsza kobieta dźwigająca siatkę wielkości walizki krzyknęła karcąco w ich kierunku, ale nawet nie zwolnili. Lonergan uśmiechając się do siebie pod nosem, otworzył drzwi sklepu i usłyszał znajomy dźwięk starodawnego dzwonka. Kiedy był dzieckiem, często wpadał tu latem z kuzynami. Kupowali batoniki, lody i komiksy. Tak niewiele było im wtedy potrzeba do szczęścia.

Dlaczego życie musiało się tak skomplikować, przemknęło mu przez myśl.

Spacerując pomiędzy regałami, uśmiechał się do nielicznych napotkanych klientów. W jednej z gablot chłodniczych dostrzegł kwiaty. Zanim pomyślał, otworzył drzwi i sięgnął do środka. Róże? – zastanowił się. Wyciągnął wielki bukiet żółtych róż i powąchał.

Czy Kara lubi róże? Nie wiedział. Jak to możliwe? Znał ją od pięciu lat. Przyjrzał się krytycznie jędrnym pąkom i zajrzał głębiej do chłodni. Było tam kilka mieszanych bukietów składających się z goździków, stokrotek i dziwacznych fioletowych kwiatów, których nie potrafił zidentyfikować.

– To nie powinno być trudne – mruknął, oglądając uważnie kolejne wiązanki. Wokół niego buchał wydobywający się z lodówki chłód.

– Cooperze Lonerganie, zamknij natychmiast te drzwi! Myślisz, że zamierzam płacić za to, że klimatyzujesz mi sklep?

Pisarz podskoczył i gwałtownie się odwrócił, napotykając świdrujące spojrzenie czarnych oczu pani Russell. Kobieta miała ze sto dziesięć lat, kiedy byli dziećmi, musiała więc naprawdę być czarownicą. Nadal świetnie się trzymała i była równie niesympatyczna.

– Przepraszam – mruknął i odsunął się do tyłu. Trzymając róże, zamknął drzwi chłodni. – Nie mogłem się zdecydować.

Sprzedawczyni zmarszczyła brwi i krokiem godzilli ruszyła do kasy stojącej na głównej ladzie.

– Zastanawiaj się przy zamkniętych drzwiach.

– Miło było panią spotkać – burknął.

– Okropna jak zawsze – zauważyła wysoka, ładna kobieta o jasnych włosach i głębokich błękitnych oczach. Miała zawieszony na ramieniu stalowy koszyk i znajomy uśmiech na twarzy.

– Niestety – potwierdził, starając się przypomnieć sobie, skąd ją zna. Patrzyła na niego jak ktoś znajomy. Nie mógł dociec, kim była. – Starucha nic się nie zmieniła.

– Sądzę, że nadal żywi do ciebie i twoich kuzynów urazę za wasz wybryk czwartego lipca – wyjaśniła blondynka, sprawdzając kątem oka, czy pani Russell oddaliła się na bezpieczną odległość.

Cooper roześmiał się na samo wspomnienie. On, Jake, Sam i Mac postanowili uczcić Święto Niepodległości, Zebrali wszystkie swoje oszczędności i kupili nielegalnie race. Bynajmniej jednak nie planowali wystrzelenia jednej z nich w stodołę Russellów i spalenia jej.

– A potem Jeremiaś zapędził nas na całe trzy tygodnie do odbudowywania.

– I tak uszło wam prawie na sucho. Ja miałam szlaban na miesiąc.

Cooper przymrużył oczy i przez dłuższą chwilę wpatrywał się uważnie w kobietę. Cofnął się o piętnaście lat i zobaczył ją taką, jaka była wtedy. Wysoka, szczupła, z ogromnymi błękitnymi oczami. Zawsze przyklejona do Maca.

– Donna Barrett?

– Cześć, Cooper, miło cię widzieć.

Chwytał ją w ramiona i mocno objął. Kiedy z bukietu róż zaczęła kapać woda na jej ramię, wypuścił ją z uścisku.

– Przepraszam – zmartwił się.

– Nic nie szkodzi. Słyszałam, że wróciliście z Samem do domu.

– Tak, ale tylko na lato. Przyjedzie też Jake.

– Znów wszyscy razem. – W jej głosie pojawiła się nuta smutku. Opuściła wzrok, wpatrując się w zawartość przewieszzonego przez ramię koszyka.

– Prawie wszyscy – powiedział, wiedząc, że myśli Donny są przy Macu. Tamtego ostatniego lata byli nierozłączni.

Stała się nieoficjalnym członkiem ich paczki. Nie dlatego, że wszyscy ją lubili, ale gdyby jej nie zaakceptowali, straciliby Maca. Dzień, w którym zginął Mac, był jednym z

nielicznych, kiedy jej przy nim nie było. Gdyby im wtedy towarzyszyła, może wszystko skończyłoby się inaczej? Nie czekali by tak długo na brzegu, tylko wcześniej po niego wskoczyli? Być może...

Zapadła ciężka cisza. Oboje wrócili na moment do przeszłości, stając znów twarzą w twarz z bólem i żalem.

– Słyszałem, że zaraz po wypadku wyprowadziłaś się z Coleville – przerwał w końcu milczenie Cooper.

No pięknie. Zamiast zmienić temat, znów wracam do tamtego wydarzenia, pomyślał zmieszany.

– Tak, przeprowadziłam się do ciotki do Kolorado. Skończyłam tam szkołę i teraz... – Wzruszyła ramionami i odgarnęła opadające na twarz włosy. – Przyszedł czas, żeby wrócić do domu. – Wskazała dłonią na okapujące wodą róże. – Gorąca randka? Pisarz zaśmiał się nerwowo.

– Chcę kupić kwiaty... przyjaciółce – wybąkał. Przyjaciółka? Dziwne określenie, zastanowił się. Kochanka? Czy jedna wspólna noc mogła uczynić z nich kochanków? Jeśli wierzyć słowom Kary, na pewno nie. Ona już postanowiła wyrzucić ten epizod z pamięci.

– Spodoba ją się.

– Tak sądzisz? – spytał, wpatrując się w bukiet, jakby oczekiwał, że zmieni kolor. – Czy wszystkie kobiety lubią róże?

– Raczej bym nie generalizowała – odparła, marszcząc brwi.

– Tak, wiem, chodziło mi o to, że... do licha! – Nie miał pojęcia, co chciał powiedzieć. Nigdy wcześniej nie był tak zagubiony. Zawsze potrafił postępować z kobietami. Ale Kara to co innego. Zajmowała ważne miejsce w jego życiu. Była wyjątkowa.

Jasne, była tak niezwykła, że nawet nie wiedział, czy lubi róże.

Ten problem da się łatwo rozwiązać. Otworzył drzwi lodówki i wyciągnął jeden po drugim wszystkie bukiety, dochodząc do wniosku, że w ten sposób na pewno wśród nich znajdą się jej ulubione kwiaty.

– Zamierzasz się oświadczyć? – spytała Donna, śmiejąc się.

– Nie – odrzekł, odrzucając ten pomysł jako niedorzeczny. Nie planował zdobywać niczyjego serca. Nie o to chodziło. Chciał być po prostu miły dla kogoś, kogo... lubił. Zależało mu również na poprawieniu jej samopoczucia. – Po prostu kupuję dużo kwiatów – zapewnił zdecydowanym tonem.

Z ulicy dobiegło ich głośne, natarczywe trąbienie klaksonu. Donna rzuciła szybkie, nerwowe spojrzenie przez okno.

– Miło było cię spotkać, ale muszę lecieć.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Cooper.

– Tak. – Podeszła szybkim krokiem do kasy. – Mam nadzieję, że twojej przyjaciółce spodoba ją się kwiaty.

– Ja również.

W zamyśleniu obserwował, jak wychodzi ze sklepu i biegnie do czekającego na nią trucka. Za kierownicą widać było jakąś postać, jednak odbijające się w szybie promienie

słońca uniemożliwiły Cooperowi dokładniejsze przyjrzenie się kierowcy.

Kręcąc z niezadowoleniem głową, postanowił zapomnieć o Donnie Barrett. Niezależnie od tego, jak ułożyła sobie życie, życzył jej szczęścia. A tymczasem miał w domu chorą kobietę, która nie powinna na niego czekać.

– Sześć bukietów? – zdziwiła się Kara, kiedy Cooper wniósł do sypialni ostatni, składający się z fioletowych irysów, i ustawił go na toaletce.

Wzruszył ramionami i wbił ręce w kieszenie czarnych spodni.

– Nie wiedziałem... – W ostatniej chwili zreflektował się i dodał: – Wszystkie były ładne.

Kara uśmiechnęła się, choć w głębi duszy poczuła rozczarowanie. Po pięciu latach znajomości, codziennej współpracy, nic o niej nie wiedział.

– Nie miałeś pojęcia, jakie kwiaty lubię?

Cooper wzruszył ramionami i przeczesał nerwowo dłonią włosy.

– To prawda – wyznał. – Ale byłem pewien, że w ogóle lubisz – mruknął niechętnie.

– Mhm...

Na szczęście mdłości ustały i już jej się nie przewracało w żołądku. Jeszcze dzień wcześniej pomieszane zapachy świeżych kwiatów wygoniłyby ją do łazienki. Teraz tylko przypawiły o ból głowy.

Lonergan napuszył się z dumy i Kara nie miała serca psuć mu dobrego nastroju.

– To bardzo miłe, że pomyślałeś o mnie – odparła w końcu, odpychając od siebie marzenia i starając się ujrzeć go takim, jaki był w rzeczywistości. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, że nie wiedział, jakie kwiaty lubi. Liczyły się dobre chęci. – Dziękuję – dodała.

Posłał jej promienny uśmiech, po czym podniósł z podłogi siatkę, którą porzucił w drzwiach sypialni.

– Mam jeszcze coś – oświadczył triumfalnie. – Kupując je, patrzyłem prosto w oczy tej starej babie, to znaczy pani Russell.

– O czym ty mówisz? – zmieszana się, po czym widząc, jak wyjmuje kolorowe czasopisma i kładzie na nocnym stoliku, uśmiechnęła się. Były to głównie magazyny o modzie oraz plotkarskie tygodniki. Zapewne wybrał wszystkie tytuły, które uznał za popularne wśród damskich czytelniczek. – Doskonale wyczucie, dzięki.

– A co powiesz na zupę? – spytał zachęcająco. – Kupiłem kurczaka.

– Nie musisz dla mnie gotować obiadu. Pojedź do miasteczka i zjedz coś przyzwoitego.

– Nabyłem w markecie steki i sam zrobię obiad – obruszył się i wyprężył dumnie pierś.

– Naprawdę?

– Nie jestem tak całkiem do niczego!

– Nie mówiłam, że jesteś do niczego – poprawiła. – Użyłam raczej słowa „beznadziejny”.

– Czyżby? – Podszedł do łóżka i wyrównał kołdrę. – Zresztą nie tylko zrobiłem zakupy. Wstawiłem też pranie. Wiedziałaś, że można przeładować pralkę?

– Zalałeś pół domu?

– Przynajmniej podłogi są czyste.

– Cooper!

– I poprasowałem.

– Jak to? – zdumiała się, robiąc wielkie oczy, w których błysnął cień smutku.

– Ale tylko trochę – przyznał, wzruszając ramionami. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ktoś przykrył deskę do prasowania jakimś plastikiem, skoro topi się pod wpływem ciepła.

– Postawiłeś na nim żelazko? – spytała ze zgrozą.

– Kupię nowe – prychnął, nie zrażając się małym niepowodzeniem.

– Dlaczego to wszystko robisz? – spytała łagodnie. – Tylko mów prawdę.

Pisarz spojrział na nią i posłał jej uśmiech, jeden z tych, które potrafiły zatrzymać na moment bicie jej serca.

– Bo chcę. I co z tą zupą?

Przytaknęła ruchem głowy, obawiając się, że jeśli się odezwie, głos jej się załamie. Popatrzyła za nim, jak wychodził z pokoju, po czym przeniosła wzrok na biegające po suficie promienie letniego słońca. W powietrzu unosił się aromat kwiatów, a gdzieś znikąd dało się słyszeć ciche westchnienie.

Cooper nie tylko świetnie sobie bez niej radził, ale wręcz rozkwitał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Jak sobie radzisz? – spytał Sam, stawiając na stole torbę i spoglądając uważnie na kuchynia.

Kuchnię rozświetlało ostre poranne słońce. Cooper zmrużył oczy i wziął w dłoń kubek z kawą. Wypił łyk i wzdrygnął się z niesmakiem. Będzie musiał jeszcze raz dowiedzieć się od Kary, jak zaparzyć dobrą kawę.

– Świetnie – odparł twardo i opadł na krzesło, bojąc się, że za chwilę zemdleje. Czuł się osłabiony, jakby nie spał od kilku tygodni. – Jak się miewa nasza pacjentka?

Sam pokiwał głową i podszedł do ekspresu do kawy. Wyjął z kredensu kubek, napełnił gorącym burym płynem, spróbował i natychmiast się skrzywił.

– Jak można zaparzyć coś tak wstrętnego?

– Mam dar – wyjaśnił pisarz, podpierając się na łokciu. – Co z Karą?

– Dobrze, jest w zdecydowanie lepszej formie niż ty. Mówiłem ci już, że wyglądasz jak zjawa?

– Wielkie dzięki – mruknął Cooper, popijając łyk kawy, nie dlatego że przyzwyczał się już do podłego smaku, tylko dlatego, że kofeina była jedynym, co trzymało go jeszcze przy życiu. – Naprawdę zdrowieje? Nic jej nie będzie?

– Już ci mówiłem, to tylko grypa. – Sam spojrzął na zegarek, wziął łyk kawy i krztusząc się, przełknął, po czym odstawił kubek. – Jest zmęczona i osłabiona, ale wkrótce dojdzie do siebie. Daj jej jeszcze kilka dni odpoczynku i trzymaj na lekkostrawnej diecie.

– Poradzę sobie – zapewnił.

– Maggie chętnie ci pomoże.

– Nie, sam będę się opiekował Karą. Chcę i potrafię.

– Hm... – Lekarz podszedł do stołu, usiadł naprzeciw Coopera i spojrzął na niego z wyrazem powątpiewania w oczach.

– O co chodzi?

– O nic. To bardzo interesujące. Nie znałem cię od tej strony.

– Zabawne. – Cooper oparł się wygodniej i odchylił do tyłu. – Do licha! Nie miałem pojęcia, że codziennie jest tyle rzeczy do zrobienia. Jak ona sobie z tym wszystkim radziła? Zawsze miała wszystko poukładane, na czas zorganizowane, nigdy się nie denerwowała. Naprawdę nie doceniałem jej i na pewno za mało płaciłem.

– Miło jej będzie to usłyszeć – powiedział Sam w zadumie.

Cooper nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Spędziłem dobrych kilka godzin na telefonicznych ustaleniach z wydawcą i z redaktorem. Do tego doszły rozmowy z agentem. Usiłowałem też wmusić w Karę zupę i zrobiłem pranie, starając się nie zalać przy tym domu. Od dwóch dni nie napisałem ani słowa.

– I nie spałeś?

– Czuwałem w nocy przy jej łóżku – odparł sucho. – Na wszelki wypadek, gdyby czegoś potrzebowała.

Sam podniósł się na krzesło i założył za siebie ręce, uśmiechając się tajemniczo pod nosem.

– Cokolwiek podejrzewasz, wybij to sobie z głowy – zdenerwował się Cooper.

Lekarz zabębnił palcami lewej dłoni o blat.

– No dobrze, skoro nie chcesz rozmawiać o Karze, pomówmy o tobie.

Pisarz jęknął. Nie miał najmniejszej ochoty na poważne rozmowy. Spojrzenie kuzyna mówiło: Wiem, jaki masz problem, i znam rozwiązanie.

– Zlituj się nad zmęczonym człowiekiem i odpuść mi dzisiaj – powiedział spokojnie.

– Jesteś tu od kilku tygodni – zauważył Sam, ignorując jego prośbę. – Z tego co wiem, nie byłeś jeszcze nad jeziorem.

Cooper zacisnął w dłoniach kubek z kawą tak mocno, że aż pobiełały mu kłykcie. Ogarnęło go zmęczenie. Pomimo bólu w plecach wyprostował się, sztywniejąc.

– Nie. I tobie też nie radzę.

– Nie możesz stale uciekać od przeszłości.

Cooper poczuł ściskanie w żołądku i zaczął się niespokojnie wiercić na krzesle.

– Do tej pory jakoś mi się udawało.

– Jesteś w Coleville. Przejechałeś tak daleką drogę. Dlaczego nie spróbujesz pogodzić się z przeszłością?

– Jestem tu tylko ze względu na Jeremiaha. – Rozluźnił uścisk na kubku. – Wczoraj byłem w miasteczku – zmienił temat, wywołując tym irytację Sama. – Spotkałem Donnę.

– Barrett? – Lekarz spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Nie wiedziałem, że przyjechała.

– Widocznie wróciła. – Jak wygląda?

– Dobrze, ale nie w tym rzecz – powiedział Cooper, odstawiając kubek i kładąc obie ręce na stół, jakby potrzebował podparcia, by się utrzymać w pozycji pionowej. – Kiedy ją zobaczyłem, natychmiast wróciły wspomnienia tamtego lata. Poczułem zapach oceanu i ciepło słońca na skórze. – Westchnął. – Do licha! Znów usłyszałem śmiech Maca. Był tak bliski i znajomy. Wystarczyło, że spojrzałem na Donnę.

– Przestań...

– Pogrzebałem przeszłość i nie będę do niej wracał – przyrzekł.

Sam przyglądał mu się przed dłuższą chwilę.

– Nieprawda, ona nadal w tobie żyje. Dopóki nie stawisz jej czoła i nie pożegnasz się z Makiem, nie uwolnisz się.

Po wyjściu kuzyna Cooper został sam w wypełnionej słońcem kuchni.

Ogarnął go napierający ze wszystkich stron chłód. Niezależnie od tego, czy był to duch tego domu, czy jego wewnętrzne upiory, przyznał gorzko sam przed sobą, że nie zasługiwał na uwolnienie od demonów przeszłości.

Kara z trudem podniosła się na łóżku i usiadła, opierając się o poduszki. Zaczynała powoli powracać do życia. Ustały skurcze żołądka, nadal jednak czuła się podle. Nie miała nawet siły, żeby wziąć prysznic.

– Jak samopoczucie?

W drzwiach stał Cooper, opierając się ramieniem o futrynę. Miał dłonie wbite w

kieszenie, skrzyżowane nogi i wyglądał na zmęczonego.

Podciągnęła wyżej kołdrę. Miała ochotę schować się przed nim. Zdawała sobie sprawę, że wygląda okropnie. Kiedy była wcześniej w łazience, widziała się w lustrze i o mało nie krzyknęła z przerażenia.

– Znów odpływasz? – Stał nad łóżkiem i pomachał jej ręką przed oczyma.

– Jestem w śpiączce.

– Jak na kogoś w śpiączce jesteś całkiem rozmowna.

– W jakim celu tu przyszedłeś?

– Musisz być taka opryskliwa, jak tylko ci się polepszyło?

– Cooper!

– Odpręż się. Przyszedłem zapytać, jak się czujesz i czy nie masz ochoty na prysznic.

Zamrugnęła powiekami, starając się wyrzucić z wyobraźni wizję: oboje nadzy, przytuleni, pod strumieniami gorącej wody. Jego dłonie pieszczotliwie namydające jej ciało, usta...

– Kara?

Wyrwana z marzeń skarciła się surowo w myślach. Pójście z Lonerganem do łóżka było niewybaczalnym błędem. Teraz będzie tęskniła za jego dotykiem i bliskością do końca swych dni, a w sercu nie znajdzie miejsca dla innego mężczyzny.

A Cooper był dla niej nieosiągalny i to się nigdy nie zmieni. Powinna już dawno oswoić się z tym faktem.

– Słyszałam, co mówiłeś – prychnęła i odrzuciła kołdrę. Zimno uderzyło w jej pólnagie ciało i zadrżała. – Właśnie zamierzam wziąć prysznic.

– Nie tak szybko – zaoponował, podchodząc i biorąc ją pod ramię.

– Nic mi nie jest. Poradzę sobie – oświadczyła uparcie, po czym zachwiała się i opadła na jego silny tors. Pokój zaczął nieprzyjemnie wirować. Zamknęła oczy, starając się odzyskać równowagę. – No dobrze – mruknęła. – Chyba przyda mi się trochę pomocy.

– Przed trzy dni leżałaś bez ruchu, półprzytomna. – Objął ją w talii i podtrzymał. – I nie jadłaś. Musisz dać sobie czas na odzyskanie sił.

Miał chropowaty głos i prawie mogłaby przysiąc, że słyszała przyspieszone bicie jego serca. Nie miała pewności, czy ciśnienie podskoczyło mu z pożądania, czy z powodu problemów, z którymi musiał sobie radzić przez ostatnie kilka dni. Wolą jednak nie zastanawiać się nad tym. Prawda mogłaby ją niepotrzebnie zboleć.

Wsparta o jego klatkę piersiową wyprostowała się, powoli wysunęła z jego objęć i zrobiła pierwszy krok. Nogi miała jak z waty. W głowie wirowało jej jak na karuzeli i wzrok się mącił.

– Uuu. Ciekawe doznania – wyszeptęła, opadając Cooperowi w ramiona.

– No dobrze, zabierzemy się do tego inaczej. – Przytulił ją mocno, a ona zapadła się w niego. Położyła mu głowę na ramieniu, poczuła zapach mydła i wody kolońskiej. Ścisnęło ją w żołądku. Tym razem jednak nie był to objaw grypy. Podziałała tak na nią bliskość Coopera. Wspomnienie jego pieszczot, smaku jego ust, rozbudziło w niej pragnienie. Łaknęła go, choć miała świadomość, że to nie ma przyszłości, że on nigdy jej nie pokocha.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się.

– Tak, mam tylko lekkie zawroty głowy – zapewniła.

Wyszli z sypialni, minęli korytarz i znaleźli się w łazience. Ściany pomieszczenia wyłożone były kafelkami o zimnym odcieniu zieleni, a na podłodze leżała starodawna terakota ułożona w biało-zieloną szachownicę.

– Pomóc ci? – spytał, wypuszczając ją z objęć.

– Nie – odparła, choć jej wewnętrzny głos krzyczał „tak!”. Cooper nie wyglądał na przekonanego, jednak przesunął się w kierunku drzwi.

– Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała. Idę zmienić pościel.

– Naprawdę?

– Byłbym ci wdzięczny, gdybyś przestała tak na mnie patrzeć.

– Jak?

– Tak, jakby dokonał się cud. Uwierz, potrafię robić różne rzeczy.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się na widok jego obrażonej miny. – Tylko że...

– Wiem. – Podniósł do góry dłoń, powstrzymując ją przed dokończeniem zdania. – Nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale też i nie musiałem.

– To prawda – przyznała. Przecież zawsze się nim opiekowała i wszystkim zajmowała. Poniekąd była winna, wyręczając go we wszystkim i w efekcie doprowadzając do tego, że się od niej uzależnił.

Pokiwał głową i wepchnął rękę do kieszeni.

– Nie miałaś zapasowej koszulki nocnej, więc zostawiłem ci mój biały podkoszulek. Włóżysz go, a w międzyczasie zrobię pranie.

Pomyślał nawet o tym, zdziwiła się. Nie mogła się już doczekać, żeby zrzucić z siebie tę koszulkę, którą miała na sobie od kilku dni.

– Będziesz znów prał?

– Takie umiejętności chwytam w lot.

– Dzięki, że pomyślałeś o tym.

– Nie ma sprawy – rzucił, wychodząc z łazienki. – Jeśli zakręci ci się w głowie podczas brania prysznica, natychmiast usiądź.

– Tak zrobię.

– Może jednak zostać z tobą, na wszelki wypadek?

– Wyjdź – poprosiła, delikatnie popychając go dłonią.

Zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie, powstrzymując się przed zaproszeniem go do wspólnej kąpieli. Kiedy usłyszała, że schodzi na dół, westchnęła rozczarowana, jednocześnie czując ulgę. Rozebrała „się powoli i weszła pod prysznic.

W pokoju panowała ciemność. Cooper siedział przy łóżku i przyglądał się śpiącej Karze. Przez okno sączyło się światło księżyca, zalewając ją srebrną poświatą, która przydawała jej bladej skórze porcelanową barwę. Długie, czarne rzęsy, takie wyraźne na jasnych policzkach, rozczulały go, a jednocześnie rozbudzały w nim pożądanie. Ciężko wciągnął powietrze, raz, a potem drugi, i pochylił się nad nią. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Dlaczego nigdy wcześniej nie zauważył, jaka jest piękna? Westchnęła cichutko przez sen i przekręciła się,

ściągnął z siebie kołdrę i odsłaniając fragment nagiego ramienia i ciało ubrane w biały podkoszulek. Kto by pomyślał, że kobieta może tak dobrze wyglądać w męskim podkoszulk. Kiedy wychodziła z łazienki, T-shirt zaledwie zakrywał jej pupę, odkrywając długie, szczupłe nogi. Świeżo umyte i wysuszone włosy opadały na ramiona bujnymi falami. Podkrążone nadal oczy po raz pierwszy od kilku dni patrzyły na niego jasno.

Miał ochotę pogłodzić jej skórę. Zawładnęły nim fantazje. Przypomniały mu się sceny, dźwięki i zapachy upojnych chwil, kiedy się kochali, kiedy mu się oddała i zaprowadziła go na szczyty rozkoszy, dając coś wspaniałego, nieoczekiwanego.

Jego ciało obudziło się ogarnięte nienasyconym głodem, płonęło z pożądania. Jak mógł jej pragnąć w takiej chwili, kiedy leżała chora i wyczerpana? Cofnął się i oparł o krzesło. Niespodziewanie z wnętrza domu dobył się nieludzki jęk. Cooper podskoczył, błyskawicznie wstał i rozejrzał się uważnie wokół. Wycie nie ustawało. Nie można było w żaden sposób zlokalizować jego źródła. Sączyło się ze ścian, jakby dom zanosił się nieszczęśliwym lamentem.

– Do licha – mruknął, czując nieprzyjemne dławienie w gardle. Duch od kilku dni nie dawał znaku i pisarz doszedł do wniosku, że postanowił zostawić ich w spokoju. Teraz niespodziewanie powrócił, hałasując głośniejszym niż dotychczas.

Kolejny rozdzierający jęk przeszył powietrze tuż obok niego, przyprowadzając go o dreszcz. Na dworze zerwał się silny wiatr, zaczęły stukać i trzeszczeć okiennice. Tumany pyłu i drobnych kamyczków unoszone silnymi podmuchami uderzały w szyby jak tysiące palców pukających, by wpuścić gości do środka.

Pokój ogarnął lodowaty chłód. Z każdą chwilą zimno stawało się coraz bardziej przenikliwe i wszechogarniające. Zawodzenie przybrało na sile. Cooper przysunął się do łóżka i odwrócił plecami do Kary, stając na drodze między nią a napierającym chłodem. Bezradnie wbity w ziemię poczuł, że ogarnia go pusty śmiech. Miał się bronić przed duchem? Co mógł zrobić? Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to zabrać stąd Karę. Z drugiej strony nie będzie przecież uciekał z własnego domu z powodu jakiegoś szalonego ducha nieżyjącej od dawna kobiety i jej niedoszłego kochanka.

– Wynoś się – warknął ostro.

Jęki odpowiedziały głośnym, dudniącym lamentem.

– Cooper?

Spojrzał przez ramię do tyłu i ujrzał Karę siedzącą na łóżku. Odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się po pustym pokoju.

– Znów zaczęła – wyjaśnił, rzucając groźne spojrzenia na tańczące cienie, jakby chciał zawstydzić zjawę i zmusić do milczenia.

Duch zawył żałością, aż przeszły mu ciarki po plecach.

– Ona jest samotna – wyszeptwała Kara.

– Jest szalona – stwierdził ze złością. Łkanie otoczyło ich.

Kara wyciągnęła rękę, ujęła dłoń pisarza i zmusiła, żeby usiadł przy niej na łóżku. Cooper oparł się plecami o wezgłowie i przytulił ją mocno do siebie, jakby chciał ochronić przed zimnem.

– Nie powinna była tak długo na niego czekać – powiedziała cichutko, prawie płacząc.
Loneragan pokręcił przecząco głową, zdziwiony, że w środku nocy omawiają uczucia ducha.

– Może raczej powinna była jeszcze trochę wytrzymać. Przecież w końcu się zjawił.

– Za późno.

– To nie musiało się tak skończyć – oświadczył głośno, tak żeby duch go dobrze usłyszał.

– Gdyby się tak łatwo nie poddała i nie umarła, mogliby być razem. On błądzi teraz na zewnątrz domu, a ona nie chce go wpuścić.

Kara popatrzyła w ciemności na profil Coopera, starając się nie brać jego słów zbyt do serca i nie interpretować ich niezgodnie z prawdą. Tak bardzo pragnęła wierzyć, że mówił teraz o nich i podświadomie prosił, żeby tak łatwo z niego nie rezygnowała.

Jeśli zacznie w to wierzyć, skaże się na podobne cierpienia jak kobieta, której duch żyje uwięziony w tym domu.

Powinna zdobyć się na to, czego nie potrafiła zrobić tamta kobieta. Porzucić marzenia i pójść dalej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kara obudziła się z najbardziej erotycznego snu, jaki kiedykolwiek jej się przyśnił. Duch zrezygnował ze straszenia i w domu panowała błoga cisza.

Nie mogła zrozumieć, co ją wyrwało ze snu. W chwilę później już wiedziała. W fantazji dłonie Coopera delikatnie i zarazem lubieżnie ją pieściły, dając nieziemską rozkosz i prowadząc do cudownego spełnienia.

Teraz zdała sobie sprawę, że to wszystko działo się na jawie. Cooper leżał przytulony do jej pleców, nagi, grzejąc ją ciepłem swojego rozpalonego ciała. Na pośladkach czuła jego twardą, spragnioną męskość. Jego dłoń błędziła między jej udami, przyprawiając ją o dreszcze. Instynktownie rozchyliła nogi, poddając się pieszczotom. Przymknęła oczy, chłonąc go całą sobą.

– Cooper... – jęknęła lubieżnie.

– Jestem przy tobie – odpowiedział, całując ją w kark i szyję.

– Miałam taki... – zaczęła, tracąc oddech. Uśmiechnął się, nie przestając pieścić jej ustami.

– Przykro mi, że cię obudziłem.

– Wcale nie – wysapała, zniewolona jego czułościami.

– Masz rację, wcale nie jest mi przykro – przyznał się. Kara przekręciła się na plecy i zajrzała w jego pociemniałe oczy.

– Co robisz?

– Myślałem, że to oczywiste – odparł, nie przerywając karesów i przyprawiając ją o kolejny dreszcz rozkoszy – Tak – zaśmiała się zduszonym głosem – ale chodziło mi o to, dlaczego to robisz? Dlaczego my... – Uniosła biodra, poddając się jego dotykowi. – Boże, jakie to cudowne.

– Muszę przyznać ci rację – mruknął i pocałował ją w usta.

Starając się zachować resztki godności i nie ulec żądającym zaspokojenia zmysłom, odwróciła głowę na poduszce i rzuciła:

– To z litości?

– Słucham?

– No wiesz – burknęła, powoli tracąc kontrolę nad własnym ciałem. – Jak wspaniale mnie dotykasz – wymknęło jej się.

– Mam dar – wyjaśnił, wodząc koniuszkiem języka po jej dolnej wardze.

– Ale ja nie chcę spełnienia z litości – wyjąkała.

– Hm?

– Byłam chora, a ty chcąc, żebym poczuła się lepiej...

– Jesteś chyba niespełna rozumu. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej tego nie zauważyłem?

– Nie żartuj – obruszyła się, starając się nie zwracać uwagi na zabiegi jego palców, które ponownie odnalazły jej czułe miejsce.

– O co ci chodzi?

– Przecież wiesz – szepnęła, walcząc ze sobą, żeby nie błagać go o więcej. Jej ciało było jednak mądrzejsze i automatycznie odpowiedziało, żądając zaspokojenia.

– Przecież widziałeś mnie w takim okropnym stanie. Nie mogę cię pociągać po tym widowisku, na jakie cię naraziłam. Więc jeśli to dobry uczynek, czy coś w tym rodzaju...

– Ty naprawdę oszalałaś – jęknął, błędząc znów dłonią między jej udami.

– Cooper...

– Spójrz na mnie – zażądał chrapliwym głosem. Kiedy ich oczy się spotkały, powiedział:

– Pragnę cię od kilku dni. Pożądałem cię nawet wtedy, kiedy chorowałaś w łazience. Pochylałaś się nad toaletę, a ja mogłem myśleć tylko o tym, jaką masz piękną pupę. To już chyba jest zboczenie?

– Naprawdę? – spytała, podsuwając mu biodra.

– Tak. Nie dość tego. Wiem, że jesteś wyczerpana i nie spałaś dobrze od kilku nocy. Ale czy daję ci odpocząć? Nie! Budzę cię z nadzieją, że pragniesz mnie tak bardzo jak ja ciebie.

– Naprawdę?

– Przestań to ciągle powtarzać – poprosił. Pocałował ją w usta i przesunął językiem po jej wargach.

– Tak – mruknęła, ciężko łapiąc oddech.

– Więc? Mam dać ci spać?

– A komuś tu w ogóle chce się spać? – spytała, rozchylając przed nim uda i zakładając mu ramiona na szyję.

– Miałem nadzieję właśnie to usłyszeć – uśmiechnął się i cmoknął ją w szyję.

Kara odchyliła do tyłu głowę, przestała myśleć, zastanawiać się nad motywami jego postępowania i oddała się bezwolnie rozkoszy.

Mijały godziny, a oni wciąż nie mogli się sobą nasycić. Karę bolał każdy mięsień, nigdy jednak nie czuła się tak szczęśliwa, spełniona i zaspokojona. Kochali się na wszelkie możliwe sposoby, dając sobie wzajemnie wiele cudownych chwil i morze rozkoszy.

Na dworze zaczynało świtać. Świat budził się do życia tysiącem barw. W końcu oboje zmęczeni, mocno wtuleni w siebie, zapadli w drzemkę, śniąc wspólnie ten sam sen.

Cooper trzymał Karę za rękę, a ona czuła płynącą z jego dłoni moc i energię. Stali w saloniku wiktoriańskiego domu, który wyglądał jak za dawnych czasów. Wpadające przez okno promienie słońca tańczyły wesoło na klawiszach z kości słoniowej stojącego w rogu pianina. Pokrywą instrumentu ozdabiała tkanina w tureckie wzory oraz liczne ramki z fotografiami w sepii. Na wyściełanym fotelu wylegiwał się zwinięty w kłębek czarnobiały kot. W wielkim, szerokim oknie stała kobieta. Ozłocona słoneczną poświatą wyglądała na drogę, jakby na kogoś czekała. Jedną rękę trzymała na ustach, drugą obejmowała się w tali, szukając pocieszenia, którego nie potrafiła odnaleźć.

Jej cichy smutek rozbrzmiewał w pokoju echem, płynące z oczu łzy mieniły się jak diamenty. Wyglądała kochanka, który obiecał do niej wrócić. Chodziła od okna do okna dręczona tęsknotą i podtrzymywana na duchu nadzieją. Stąpała cichutko po dywanach

tłumiących odgłos stukania obcasów jej pantofelków. Stary zegar regularnie wybijał godziny, a ona za każdym uderzeniem gongu coraz bardziej kuliła się w rozpacz.

Kara czuła, jakby nieszczęście tej kobiety było jej własnym. Cały dom płakał, towarzysząc kobiecie w powolnej agonii. Czas się zatrzymał. Biedaczka znalazła się w pułapce uwięziona przez bezkresny ból i cierpienie.

Kara spojrzała na Coopera, dostrzegając w jego oczach współczucie. Zanim zdążyła się do niego zbliżyć, coś ich rozłączyło.

Fizycznie i intuicyjnie poczuła, że ukochany oddala się od niej.

Śpiąc, przytuliła się mocno do niego, by nie pozwolić mu odejść. Bała się, że zostanie porzucona jak rozpaczająca po nocach kobieta, czekająca na miłość, która nigdy się nie spełni.

Cooper obudził się pierwszy, zdziwiony, że sen się skończył. Kara leżała obok skulona. Jej mała dłoń spoczywała na jego torsie. Poglądził ją, po czym niechętnie wypuścił z objęć.

Jak to możliwe, że znaleźli się w tym samym śnie? Że dzielili z duchem jego cierpienie? Jak mógł zapomnieć lekcję, którą dostał wiele lat temu? Zjawa była niegdyś młodą i piękną kobietą, która straciła wszystko, gdyż ośmieliła się kochać. Powinien pamiętać, że miłość oznacza ból.

Zmarszczył brwi i wstał. Spojrzał na nagą kobietę leżącą w jego łóżku i coś mocno ścisnęło w gardle. Ogarnął go żal, że jego życie nie ułożyło się inaczej. Równocześnie miał świadomość, że pewnych rzeczy nie da się zmienić lub odwrócić.

Kara, czując podświadomie jego spojrzenie, przebudziła się. Przeciągnęła się leniwie, otworzyła oczy, które napotkały jego wzrok, i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Czy my właśnie... ?

– Śniliśmy ten sam sen – przytaknął zaniepokojony kielkującymi w nim uczuciami.

– Ale jak to możliwe?

– Nie wiem – mruknął i podniósł z krzesła dzinsy. Musiał natychmiast opuścić ten pokój. Nie wolno mu było patrzeć na tę kobietę, inaczej popełni niewybaczalny błąd. Zatracił się na moment w jej ramionach, zapominając o dawnym bólu i ranie w sercu. Nagle zdał sobie sprawę, że Kara stała się dla niego ważna. Nie powinien był do tego dopuścić, gdyż wiele lat temu przekonał się, że miłość prowokuje nieszczęścia.

– Idę zaparzyć kawę.

– Cooper?

Odwrócił się i rzucił jej krótkie spojrzenie. Jak mógł popełnić tak niewybaczalny błąd? W jej oczach płonęła miłość i to go przeraziło. Serce mu zamarło, poczuł w środku chłód. Ścisnęło go w gardle tak, że przez moment miał wrażenie, że się dusi. Odwrócił się plecami, ponieważ nie był w stanie na nią patrzeć. Nie chciał jej. Gdy był przy drzwiach, przystanął, położył rękę na klamce i rzucił przez ramię:

– Przyniosę ci kawę i może jajka. Sądzę, że czujesz się już na tyle dobrze, że możesz zjeść coś pożywnego.

– Tak – zgodziła się. W barwie jej głosu czaiło się pytanie, na które nie miał ochoty

odpowiadać. – Ale musimy porozmawiać...

Zaprzeczył ruchem głowy i wychodząc, dodał:

– Nie ma o czym. Sen się skończył. Czas się obudzić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez kolejne dwa dni panowały między nimi napięte stosunki, choć słowo „napięte” nie było do końca właściwym określeniem. Można by raczej powiedzieć, że wszystko powróciło do dawnego stanu rzeczy.

Cooper znów stał się wyobcowanym, nieobecnym myślami szefem, którego Kara tak dobrze знаła. Roztargniony, zaabsorbowany pracą, spędzał większość czasu zamknięty w swoim pokoju. Słyszała tylko stukanie w klawiaturę komputera. Prawie w ogóle go nie widywała.

Co prawda nadal jadali razem obiady w kuchni, nie toczyli już jednak lekkich rozmów, nie przedrzeźniali się i nie śmiali się wspólnie. Karę dręczyło nieustannie wspomnienie wspólnie spędzonej cudownej nocy. Lonergan nie przejawiał żadnych uczuć. Noce ciągnęły się w nieskończoność. Towarzystwem Kary był jedynie duch, z którym miała coraz więcej wspólnego.

– Coś poważnego? – spytała Maggie, zbliżając się i uśmiechając.

– Tak – przyznała Kara, spoglądając na Coopera rozmawiającego z dziadkiem i Samem w przeciwległym końcu podwórza.

Mimo że czuł na sobie jej spojrzenie, nie dawał tego po sobie poznać. Stał odsunięty od pozostałych mężczyzn, zachowując bezpieczny dystans. Kara miała złamane serce i nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

Maggie przysiadła na krześle obok i wyciągnęła przed siebie długie, opalone nogi. Zaczęła delikatnie głaskać płaski jeszcze brzusek, jakby chciała przytulić rozwijające się w nim dziecko.

– Mogłabym przysiąc, że w cieniu jest o jakieś dziesięć stopni chłodniej – powiedziała z ulgą.

– Mhm – mruknęła z roztargnieniem Kara, gdyż cała jej uwaga skupiona była na Cooperze. Wiszący w powietrzu upał rozmazywał zarys jego postaci, tworząc wrażenie, jakby był ulotnym marzeniem sennym. Nie potrafiła sobie wyobrazić dalszego życia bez Coopera. Mimo tego będzie musiała znaleźć sposób, żeby pójść dalej. Zdecydowała już, że odchodzi. Pozostało jej jeszcze kilka krótkich, niestrzeżonych chwil, w których mogła na niego patrzeć i sycić pamięć obrazami.

– Nie powiedziałaś mu, że go kochasz? – spytała niespodziewanie Maggie.

– Nie, to nie ma sensu. On nie chce tego wiedzieć.

– Przeciwnie, powinien to usłyszeć – przekonywała Maggie. Zdjęła z nadgarstka gumkę i związała włosy w koński ogon.

Kara bardzo chciała, żeby Maggie miała rację, jednak mimo najlepszych chęci nie знаła Coopera tak jak ona.

– Sam zachowywał się podobnie – ciągnęła Maggie łagodnie, spoglądając w kierunku trzech mężczyzn. Jeremiaś i jej narzeczoncy śmiali się z czegoś, Cooper stał na uboczu i

obserwował ich.

– Co masz na myśli? – spytała Kara raczej z uprzejmości niż z ciekawości.

– Sądzę, że to, co się stało z Makiem, dotknęło bardzo głęboko wszystkich kuzynów. Sam przez wiele lat nie potrafił się otrząsnąć po tragedii. Podobnie jest z Cooperem i Jake'em. Pomyśl, wszyscy byli wtedy dziećmi. Przyglądanie się śmierci bliskiej im osoby musiało być dla nich traumatycznym przeżyciem.

Kara poczuła na plecach zimny dreszcz. Odwróciła się powoli do siedzącej obok niej kobiety.

Maggie bezbłędnie odczytała myśli z wyrazu jej twarzy.

– Nic o tym nie wiedziałaś?

– Nie – odparła. To bolało. Przez ponad pięć lat byli ze sobą tak blisko i nigdy nie wspomniał jej o tym nawet słowem. Nie dopuścił jej do siebie. Nie dał po sobie poznać, że przeżył w dzieciństwie straszliwą tragedię. Dlatego uciekał od świata i życia. Dlatego nie pozwalał nikomu pokonać muru, którym otoczył swoje serce.

– Przykro mi. – Maggie ujęła dłoń Kary. – Sądziłam, że wiesz o wszystkim.

– Nie obwiniaj się – odrzekła Kara, walcząc z ogarniającym ją smutkiem i rozczarowaniem.

– Jestem idiotką.

– Proszę, opowiedz mi, co się stało.

– Nie wiem... – zmieszala się.

– Muszę to wiedzieć.

Maggie westchnęła i spojrzała na mężczyznę.

– Myślę, że powinnaś.

Kiedy opowiadała, serce Kary powoli traciło zapach. Z każdym słowem coraz jaśniej zdawała sobie sprawę ze swojej sytuacji. Runął budowany przez ostatnie pięć lat zamek z piasku. Łzy napłynęły jej do oczu. Zrozumiała, jak wielką traumę przeżył w dzieciństwie Cooper, jakie tamto wydarzenie odcisnęło piętno na jego dorosłym życiu. Płakała z powodu utraconych nadziei, niezrealizowanych marzeń.

W końcu dopuściła do siebie gorzką prawdę.

Cooper nigdy nie podejmie ryzyka i nie pokocha jej.

Cooper obserwował siedzące w cieniu dębu kobiety i zastanawiał się, o czym mogą rozmawiać. Słowa stojących obok Jeremiaha i Sama dudniły mu w głowie. Nie był w stanie skupić uwagi na tym, co mówią, jakby znajdował się za grubą, szklaną ścianą. Widział ich, ale czuł się, jakby stracił kontakt z rzeczywistością.

Zresztą od kilku dni był całkowicie oderwany od świata, dokładnie od momentu, kiedy przyśnił mu się ten dziwny sen. W umyśle kłębiły mu się wspomnienia i wizje. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział twarz Maca. Obiecał sobie, że już nigdy nie przywiąże się do nikogo, kogo mógłby stracić. Będzie żył bez miłości. Jeśli człowiekowi na nikim nie zależy, nie można go zranić. Dlatego odciął się od rodziny i kuzynów. Utrata Maca bardzo go zabolala. Każde dziecko sądzi, że jest nieśmiertelne, niezniszczalne. Rzeczywistość

pozbawiła Coopera tych złudzeń w bardzo brutalny sposób, pozostawiając na zawsze głęboką ranę w sercu. Kiedy niedługo po wypadku Maca zmarli rodzice pisarza, utwierdziło go to tylko w przekonaniu, że powinien się odciąć od świata i unikać bliskości z ludźmi.

Zależało mu jedynie na książkach. Na co dzień żył z wymyślonymi bohaterami. Kiedy któryś z nich umierał, nie łamał tym pisarzowi serca i nie rozdzierał duszy.

Do tego wszystkiego pojawił się jeszcze problem Kary. Niespodziewanie obudziła w nim uśpione uczucia, co go przeraziło. Mężczyźnie trudno się do takich rzeczy przyznać, ale ta kobieta ogrzała mu serce. Nie chciał tego, nie potrzebował bliskości. Był zły, że udało jej się ożywić to, co od dawna uważał za bezpiecznie umarłe.

I choć bardzo pragnął przebiec przez trawnik, chwycić ją za rękę, zabrać do domu i kochać się z nią do utraty tchu, był przekonany, że to może się zakończyć tylko cierpieniem.

Zdecydował więc zostać tu, gdzie stał, na zewnątrz, tylko w roli obserwatora. Od wielu lat co noc lękał się zasnąć, gdyż obawiał się, że we śnie znów zobaczy, jak Mac umiera. Wiedział, że nie wolno mu się zbliżyć do Kary, ponieważ nie mógł jej dać tego, czego pragnęła. I choć wiele go to kosztowało, chciał jej oszczędzić bólu ponad ten, który był konieczny.

Nie był aż takim idiotą. Następnego ranka po upojnej nocy dostrzegł w jej oczach żar, radość, marzenia o przyszłości.

Postanowił ją więc ignorować, wiedząc, że sprawia jej tym ogromny ból. Lepiej przerwać wszystko od razu. Później cierpiałaby jeszcze bardziej. Co by było, gdyby pozwolił jej uwierzyć, że istnieje dla nich wspólna przyszłość? Nie, tak będzie lepiej, pomyślał. Trudno, ale lepiej.

– Co o tym sądzisz? – spytał Sam, machając mu dłonią przed oczyma.

– Słucham? – popatrzył gniewnie na kuzyna.

– Zastanawiamy się z dziadkiem nad przerobieniem dawnego pokoju babci do szycia na bawialnię dla dziecka. – Z tonu jego głosu wynikało, że nie pytał o to po raz pierwszy. – Chcę znać twoje zdanie.

– To nie moja sprawa – rzucił Cooper, dostrzegając kątem oka dezaprobatę na twarzy Jeremiaha.

– Dzięki, bardzo mi pomogłeś – mruknął Sam. – Co się z tobą dzieje?

– Nic – odparł zły na siebie, że okazuje wszystkim swoje uczucia. – Idę po piwo. Przynieść wam? – spytał.

– Tak – odpowiedział Sam.

– Ja jeszcze mam. – Jeremiah pomachał butelką pełną do połowy.

Cooper ruszył pospiesznie w kierunku domu.

Potrzebował trochę przestrzeni. Chciał pobyć chwilę sam ze sobą, odizolować się od tych, którzy patrzą na niego z nadzieją, i od tych przyglądających mu się z potępieniem.

Nie mógł ich wszystkich zadowolić. Czyż nie rozumieli tego?

Wchodząc na schody, zatrzymał się na moment i zaczął nasłuchiwać. Z oddali dochodziły niskie dźwięki burczenia silnika motocykla. Sam i dziadek przerwali rozmowę. Narastające wycie maszyny zapowiadało przybycie gościa, którym mógł być tylko kuzyn Jake.

Cooper, zapominając o piwie, zamarł w bezruchu.

Sheba zaczęła głośno szczekać, alarmując zebranych w ogrodzie, na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie usłyszał zbliżającego się warkotu. Kiedy na podwórko wtoczył się ogromny, chromowany motocykl, schowała się za nogami Jeremiaha.

Sam i dziadek ruszyli natychmiast powitać przybysza. Cooper obserwował scenę z bezpiecznej odległości.

Jake zgasił silnik i zeskoczył z maszyny. Miał długie, ciemne włosy związane w kucyk. Był ubrany w biały podkoszulek, czarne dzinsy i zdarte czarne trapery, które wyglądały, jakby poszedł w nich do piekła i z powrotem. Na prawym ramieniu nosił tatuaż „US Marines” i co najmniej dwudniowy zarost. Zdecydowanym ruchem ściągnął okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnął się.

– Miło was widzieć – zawołał.

– Ciebie również. Fajny motor – pochwalił Sam.

– Jakoś jeździ – odparł, po czym odwrócił się do dziadka i mruknął: – Jak na umierającego nieźle wyglądasz.

– Dobrze, że wróciłeś do domu – rozpromienił się staruszek, mocno obejmując wnuka.

Maggie i Kara wstały i podeszły przywitać się z gościem.

– A jak się miewa najsłynniejszy autor powieści grozy?

– zwrócił się do Coopera. – Czytając ostatnią, nieźle się bałem.

Pisarz uśmiechnął się i podeszedł do kuzyna.

– Dzięki. – Wyciągnął dłoń i przywitał się. – Cieszę się, że jesteś.

Wszyscy Lonerganowie znów byli razem. Czy tylko Cooper odczuwał tak dotkliwie brak Maca?

– Ja również – odpowiedział. Jego ciemne oczy zapłonęły iskierkami, kiedy dostrzegł nadchodzące kobiety. – A kim są te wspaniałe panie? – spytał, przybierając wyćwiczony uśmiech.

– Wyhamuj – zaśmiał się Sam. – Ta jest moja.

– W takim razie – ciągnął Jake – ty zostajesz dla mnie.

– Mrugnął figlarnie do Kary. – Chyba że... – spojrzał pytająco na Coopera.

Pisarz miał ochotę odepchnąć kuzyna, objąć Karę ramieniem i oświadczyć wszystkim, że należy do niego. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić zarówno ze względu na nią, jak i na siebie.

– Jake, to jest Kara. Moja... – wstrzymał oddech, po czym wydusił: – asystentka. – Zauważył, jak w jej oczach zapaliły się iskierki nadziei i po chwili zgasty.

Chłodno spoglądając na pisarza, uściśnęła dłoń trzeciego kuzyna.

– Miło cię poznać. Cooper nigdy mi o tobie nie opowiadał.

– Chętnie zrobię to sam – oświadczył, biorąc ją pod ramię i uśmiechając się porozumiewawczo. – Jak tylko dostanę coś do zjedzenia. Przebyłem długą drogę.

– Oczywiście – zawołał entuzjastycznie Jeremiah, starając się rozluźnić nagle gęstniejącą atmosferę. – Mamy steki w lodówce. Sam, rozpał grilla. Dziewczyny, może przygotowałybyście ziemniaki?

– Nie ma sprawy – odparła Maggie, wyslizgując się z objęć narzeczonego i cmokając go czule w policzek. – Pomożesz mi? – zwróciła się do Kary.

– Chętnie – zgodziła się, zostawiając Jake’a.

Kiedy przechodziła obok, Cooper poczuł jej zapach i wciągnął go głęboko w płuca. Wyszeptał jej imię, nie bardzo wiedząc dlaczego. Może liczył, że poprawi tym panujące między nimi napięte stosunki. Musiał spróbować. Ona jednak przeszła, nie zwracając na niego uwagi. Czyż nie tego właśnie chciał?

Kara, choć miała ogromną ochotę rozplakać się, postanowiła, że będzie twarda.

Sama była sobie winna i doskonale o tym wiedziała. Nie przynosiło jej to bynajmniej ulgi. To ona wszystko zaczęła. Dała się ponieść marzeniom i nierealnym fantazjom o wspólnej przyszłości z Cooperem.

Gorzka prawda była taka, że on jej nie chciał. Kilka spędzonych razem upojnych nocy nie oznacza związku. A ona nie chciała kompromisu.

Po rozmowie z Maggie i spędzeniu popołudnia z Cooperem, który jak ognia unikał wspomnień, wiedziała, że nie ma dla niej nadziei. Nie tylko odsunął się od niej, ale zamknął się również przed rodziną.

– Co robisz? – usłyszała za plecami głos Coopera. Nie odwróciła się jednak i nie spojrzała na niego. Wzięła z łóżka żółtą bluzkę, złożyła ją i włożyła do otwartej walizki.

– Odchodzę.

– Co? – Wszedł do pokoju, zbliżył się do niej i spoglądając raz na nią, raz na walizkę spytał: – Jak to? Teraz?

– Tak – odparła. Ciężko wciągnęła powietrze i zamrugała ze złością powiekami, starając się powstrzymać łzy. Nie zobaczy, że złamał jej serce.

– Zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

Rzuciła mu krótkie spojrzenie i uśmiechnęła się przez zaciśnięte usta.

– Oczywiście – rzuciła.

Omijając go, sięgnęła po dzinsową spódnicę, której przez cały czas pobytu w Coleville nie zdążyła ani razu włożyć, i starannie ułożyła ją w walizce. – Zresztą już dawno złożyłam ci wymówienie, pamiętasz?

– Tak, ale... – przeszedł przez pokój tam i z powrotem – nie sądziłem, że mówiłaś poważnie.

– No to teraz już wiesz.

– Do licha! O co ci naprawdę chodzi? Przecież lubisz swoją pracę.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– O nas, tak? – Pokiwał głową, wyjął rękę z kieszeni i zaczął rozcierać policzek. – O wspólny sen, tego przekłętą ducha i...

– Zjawia nie ma z tym nic wspólnego. To dotyczy wyłącznie nas, a właściwie mnie – mruknęła, składając ostatnią bluzkę.

– Posłuchaj – powiedział łagodnie. – Nie mogę ci dać tego, czego pragniesz.

Wiedziała o tym aż za dobrze. Czowała to głęboko w sercu. Chciało jej się ryczeć, ale nic

dobrego by z tego nie wynikło.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o Macu? – spytała spokojnie, spoglądając mu w oczy.

– Skąd się dowiedziałeś? Od Maggie? – domyślił się.

– Tak.

– Nie powinna ci mówić.

– Masz rację, ty powinienesz.

Zaprzeczył stanowczo ruchem głowy, zamykając temat i odbierając jej resztę nadziei.

– To się wydarzyło dawno temu.

– Nie. Dla ciebie to się stało wczoraj.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– O tym również już wiem – powiedziała i podeszła do niego. Położyła mu dłonie na ramionach, wyczuwając napięcie jego mięśni. Ogarnął ją smutek i zrobiło jej się go bardzo żal. – To nie była ani twoja, ani niczyja wina.

– Nie wiesz tego – westchnął ciężko.

– Maggie opowiedziała mi, co się stało.

– Nie było jej tam. Tak jak i ciebie.

– Byliście dziećmi.

Odsunął się od niej. Oczy zaszyły mu mgłą. Odgrodził się od niej murem.

– Mac również.

Na opuszkach palców czuła jego ciepło, jakby wciąż dotykała jego skóry. Nie było jednak sensu dalej udawać. Nie było nadziei na przyszłość u boku mężczyzny zasklepionego tak głęboko we własnym bólu, że nie potrafił dostrzec czekającego na niego czegoś pięknego.

Mimo to pragnęła mu pomóc. Przynajmniej po raz ostatni podjąć próbę.

– Nic nie mogliście zrobić. Mac wskakując do wody, skręcił kark.

Cooper wzdrygnął się na jej słowa i pokiwał smutno głową.

– Chciał pobić rekord Jake'a i udało mu się. Musiał jeszcze tylko dłużej wytrzymać pod wodą.

Kara chciała go przytulić, ale odsunął się.

– Chciałaś wiedzieć, to słuchaj. O tym Maggie na pewno ci nie powiedziała. Sam zamierzał wskoczyć po Maca, martwił się. Jake był wkurzony, że przegrywa, a ja się cieszyłem. – Poklepał się dłonią po klatce piersiowej, jakby się dusił. Z gardła wydobył mu się cierpki śmiech. – Byłem zadowolony, że Mac w końcu pokona Jake'a. Namówiłem Sama, żeby jeszcze zaczekał. Gdybym... – Głos mu się załamał. – Być może uratowalibyśmy go. Gdybym posłuchał Sama i wskoczylibyśmy po Maca, być może by żył. Więc nie mów mi, że rozumiesz. Bo nie rozumiesz.

– Masz rację – przyznała łagodnie Kara. Na widok bólu i udręki w oczach Coopera ogarnęła ją fala współczucia.

– Nie mogę wiedzieć, co czujesz ani czego żałujesz. Jednego natomiast jestem pewna. Mac nie chciałby, żebyś się zadreślał z powodu czegoś, czego nie można zmienić. Cooper zacisnął usta i zazgrzytał zębami.

– Kochałem go jak brata. On umierał, a my staliśmy na brzegu jak kretyni.

– Nie wiedzieliście.

– Powinniśmy się domyślić, przeczuć nieszczęście. Ta tragedia jest nadal we mnie i nie opuści mnie. Dlatego nigdy więcej nikogo nie pokocham. Nie będę ryzykował.

– Przykro mi – wyszeptwała. Po policzku spłynęła jej zabłakana łza. – Ze względu na Maca i was wszystkich. – Westchnęła ciężko i dodała: – Nas wszystkich.

Odwróciła się, podeszła do łóżka i zamknęła walizkę. Dźwięk zasuwanego zamka rozdarł panującą między nimi, pełną napięcia ciszę. Podniosła bagaż, przerzuciła przez ramię torbę i odwróciła się, żeby po raz ostatni spojrzeć na Coopera.

– Jadę do twojego dziadka. Maggie powiedziała, że mogę się zatrzymać w domku dla gości aż do wylotu jutro wieczorem.

– Zostań tu.

– Nie chcę.

Podeszła do otwartych drzwi, po czym zatrzymała się w progu, żeby ujrzeć go jeszcze raz. Cooper wpatrywał się w nią oszołomiony. Kara wiele by dała, żeby móc poznać jego myśli, dowiedzieć się, co przeżywa. On jednak do perfekcji opanował sztukę ukrywania uczuć przed światem i samym sobą.

– Życzę ci szczęścia – powiedziała i odeszła.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cooper stał nieruchomo w miejscu, w którym go zostawiła, osłupiały i zdruzgotany. Słyszał, jak otwierają się frontowe drzwi, a potem z hukiem za nią zamykają. W domu zapadła grobowa cisza. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Kara go opuściła.

Przed oczyma nadal miał jej wizerunek, tak bardzo żywy, jej spojrzenie przepełnione bólem. Zamknął oczy, żeby go wymazać, jednak zamiast zniknąć, obraz stał się jeszcze wyraźniejszy.

– Do licha! – jęknął, czując się bardziej samotnie niż kiedykolwiek dotąd.

– Kochałbym cię, gdybym mógł. Ale dla nas jest już za późno.

Jak niewidzialna zamieć do pokoju wtargnęła fala zimna. Huczał wiatr, chłszcząc go, targając włosy i popychając w kierunku drzwi. Cooper chwycił się kurczowo klamki, by utrzymać równowagę.

Dławiło go w gardle, serce waliło jak oszalałe. Rozejrzał się z niedowierzaniem po sypialni. Ryk wiatru przerodził się w żalony jęk. Obrazy wiszące na ścianach zsunęły się z kołków i zawirowały w powietrzu w szalonym tańcu. Lampa na suficie zaczęła mrugać, dając widowiskowy pokaz światłocieni. Lustro na toaletce pękło i rozprysło się po całej podłodze w drobne kawałeczki, mieniając się w błyskającym świetle.

Cooper puścił klamkę i zaparł się mocno nogami. Próbował pokonać przewracający go wiatr i stawić czoło rozwścieczonemu duchowi.

– Przystań – zawołał, przekrzykując wycie huraganu. Jego gorący oddech wytworzył w powietrzu zwiewną mgiełkę. – Czego chcesz? Nic ci nie zrobiłem!

Lament przybrał na sile, przyprawiając pisarza o gęsią skórkę. Ścisnęło go w żołądku. Poczul, jak zaczyna w nim krążyć adrenalina. Rozpaczliwe zawrodozenie wdarło się do jego duszy i serca, rozdzierając je w powolnej agonii.

Wiatr hulał, obrazy wirowały, na szybach osadził się mróz.

– Odeszła, nie mogę jej zatrzymać!

Jęki coraz głośniejsze i coraz bardziej przeraźliwe uderzyły w niego ze zdwojoną siłą. Zadrżały ściany, zawył rozjuszony wiatr.

– Duchy nie będą mi rozkazywać! – wykrzyknął. Słyszając własne słowa, zaczął się zastanawiać nad ich sensem. Czy nie podporządkował całego swojego życia duchom przeszłości? Czyż jego losu nie nazaczyła tragedia sprzed lat?

Poczul w głowie zamęt. W gruncie rzeczy niczym się nie różnił od uwięzionego w domu ducha.

Zjawa, podobnie jak on, zrezygnowała ze wszystkiego, zamykając się we własnym bólu. Odgrodziła się od świata na resztę życia, tonąc w rozpacz. Nawet po śmierci nie chciała dopuścić do siebie duszy kochanka. Była tak zasklepiona we własnym cierpieniu, że nie potrafiła odnaleźć drogi wyjścia. I wtedy, i teraz.

Nagle Cooper ujrzał przed sobą własną przyszłość, która przeraziła go bardziej niż poczynania zjawy.

Nie, mruknął, przeczesując włosy lodowatymi palcami. Nie będzie jak uwięziony duch. Jego sytuacja jest inna.

Czy aby na pewno? – zastanowił się.

Zrezygnował z miłości, żeby się ochronić przed bólem. Kara starała się do niego zbliżyć, pokonać mur, którym się otoczył, a on ją odrzucił.

Wiatr nagle ustał, a wirujące w powietrzu obrazy runęły z łoskotem na podłogę. Chłód ustąpił, roztapiający się na szybach lód zaczął spływać strużkami wody, sprawiając wrażenie, jakby dom płakał. Temperatura w sypialni powróciła do normy. Cooper zastygł w bezruchu jak ocalały po bitwie. Starał się poukładać w głowie myśli i wyciągnąć wnioski, zanim będzie za późno.

Godzinę po tym jak Kara położyła się do łóżka, na podwórku Jeremiaha zaparkował samochód. Od razu podświadomie wyczuła, że to Cooper przyjechał. Leżała, nie mogąc zasnąć, i wpatrywała się w sufit. Postanowiła, że nie wyjrzy przez okno. Nie chciała na niego patrzeć. Obawiała się, że może jej nie wystarczyć silnej woli, żeby wyjechać. A do tego nie mogła dopuścić. Nie mogła czekać w nieskończoność, licząc na to, że Cooper się obudzi i zrozumie, że ma prawo żyć. I kochać.

W końcu zakopała się pod kołdrą i zapadła w niespokojny sen.

Cooper stał na ganku, głośno łomocząc w drzwi domu Jeremiaha. Rzucił krótkie spojrzenie w kierunku spowitego w ciemnościach domku dla gości, walcząc z potrzebą natychmiastowego zobaczenia Kary.

Poczucie desperacji wzbierało w nim jak gorąca lawa. Odwrócił się i uderzył z całej siły pięściami w stare, twarde drewno, raniąc przy tym dłońie.

Kiedy drzwi się otworzyły, zrobił krok do tyłu i o mało się nie przewrócił.

– Czyś ty oszalał? – przywitał go Sam, rzucając mu gniewne spojrzenie. – Nie za późno na wizytę? Wszystkich pobudzisz!

– Muszę z tobą porozmawiać – zignorował kuzyna i przepchnął się obok niego, by wejść do środka. Skrzypiąc tenisówkami na linoleum, zaczął nerwowo przemierzać kuchnię, od lodówki do zlewu i z powrotem, i tak w kółko. Przeczesując palcami włosy, układał w głowie rozproszone myśli. Nie był jednak w stanie wydobyć z nich większego sensu. Czy dlatego przyjechał do Sama?

On też tam był tego dnia. Wiedział, co Cooper przeżywał przez ostatnie lata, bo również tego doświadczył. Jednak pokonał ból, wyszedł z traumy i pogodził się ze śmiercią Maca. Cooper musiał się dowiedzieć, jak tego dokonał.

Spojrzał na kuzyna. Ubrany w spodnie od pidżamy, z nagim torsem, oparł się o drzwi i skrzyżował ręce na piersi.

– Co się z tobą dzieje? – rzucił z rozdrażnieniem.

– Nic – mruknął, po czym natychmiast się poprawił: – Wszystko.

– To nie wystarczy – oświadczył Sam. Podszedł do lodówki, wyciągnął z niej dzbanek z sokiem pomarańczowym i nalał do szklanek, które znalazł w kredensie. – Byłbym wdzięczny,

gdybyś zachowywał się ciszej. Maggie źle się czuła przez cały wieczór i musi odpocząć – dodał.

– Przepraszam – odpowiedział automatycznie Cooper, ściskając w dłoniach szklaneczkę z sokiem. – Naprawdę musiałem się z tobą zobaczyć.

– W porządku – mruknął Sam, widząc desperację w oczach kuzyna. Usiadł przy stole i wskazał gestem drugie krzesło. – Słucham. Opowiadaj, co się stało.

Pisarz zignorował zaproszenie. Nie mógł spokojnie siedzieć, kiedy rozpadało się całe jego życie.

– Jak to zrobiłeś? – wypalił.

– Co?

– Jak poradziłeś sobie ze śmiercią Maca? – Utkwił uważne spojrzenie w twarzy Sama. – Znam cię. Żyłeś przez piętnaście lat podobnie jak ja i Jake. Unikałeś kontaktów z rodziną, z nami. Wszystko z powodu tego, co się wydarzyło tamtego dnia.

Sam opuścił wzrok, wpatrując się w szklanekę z sokiem.

– Tak było – westchnął.

– Więc co się zmieniło?

– Spotkałem Maggie – odparł, wzruszając ramionami. – I tak po prostu się otworzyłeś? Zmieniłeś się?

– Oczywiście, że nie. Nie chciałem się zmienić. Nie chciałem jej pokochać ani zostawać tu – wyznał, zataczając dłonią w powietrzu krąg ogarniający dom, ranczo i Coleville. – Z drugiej strony byłem już zmęczony ciągłym uciekaniem przed wspomnieniami.

– A może raczej wyrzutami sumienia? – spytał w zamyśleniu.

– Pewnie i jednym, i drugim – przyznał. – Usiądź spokojnie.

Cooper opadł niechętnie na krzesło, nie spuszczając wzroku z kuzyna.

– Kara odeszła – wyznał cicho.

– Wiem.

– No tak, przecież jest u was – zachichotał nerwowo. – I pozwalasz jej na to?

– Nie mogę jej zatrzymać – oświadczył żałośnie Cooper. Jedyne, czego teraz pragnął, to pobiec do domku dla gości, zmusić ją, żeby go wpuściła do środka, zatopić się w niej, zaznać jej ciepła i bliskości.

– Jesteś prawdziwym idiotą.

– Dzięki, bardzo mi poprawiłeś humor.

Sam pochylił się do przodu i położył ręce na stole.

– Kara odchodzi, a ty nie robisz niczego, żeby ją zatrzymać. Powinieneś czuć się podłe.

– I tak jest. Ale powiedz mi, jak mam ją kochać, skoro Mac nie żyje?

– A co on ma z tym wspólnego?

– Wiesz doskonale.

– No tak, rozumiem. Ja sobie z tym poradziłem. Omal nie straciłem Maggie i naszego dziecka. – Pokiwał głową, zastanawiając się, jak mógł popełnić tyle błędów i dokonać tylu niewłaściwych wyborów. – Naprawdę sądzisz, że Mac by tego chciał? Żebyśmy cierpieli do końca życia?

– Raczej nie – mruknął Cooper. Przed oczami pojawił mu się obraz Maca: szesnastolatka z błyszczącym, łobuzerskim spojrzeniem i dzikim uśmiechem wyzywającym kuzynów na pojedynki w skokach.

Mac tak bardzo kochał życie. Wyciskał z niego radość jak sok z cytryny, cieszył się każdym dniem. Na pewno by mu się nie spodobało, że jego kuzyni zrezygnowali z tej radości z jego powodu.

– Jak pokonałeś lęk? – spytał spokojnie, studiując uważnie żółty płyn w szklance, jakby krył największy sekret życia. – Nie obawiasz się, że możesz stracić tego, kogo kochasz?

– Oczywiście, że się boję. Ten strach zawsze będzie mi towarzyszył. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by było, gdyby Maggie coś się stało. Sama myśl o tym śmiertelnie mnie przeraża.

– Mało pocieszające.

– Ale przez cały czas jest też przy mnie miłość. Bez niej pozostaje tylko lęk. Puste, jałowe życie.

– No tak...

– Jeśli przyszedłeś po radę, to słuchaj. Pogódź się z Makiem. Pozostaw przeszłość za sobą i otwórz sobie drogę do przyszłości.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Jeśli pozwolisz Karze odejść ze swojego życia, bo opanował cię strach i boisz się przed nią otworzyć...

– To co?

– To by znaczyło, że po prostu na nią nie zasługujesz – dokończył. Dopił sok, odstawił szklankę na blat i dodał:

– Wychodząc, zgaś światło i zamknij drzwi.

Cooper dobrze znał drogę nad jezioro. Trafiliby tam nawet po omacku. Czas dłużył mu się niemilosiernie. Wydawało mu się, że odległość zwiększyła się dwukrotnie od czasów, kiedy był tam po raz ostatni. Każdy krok ciążył mu, jakby miał przytroczone do nóg wielkie kamienie. Ale miał świadomość, że musi wrócić nad jezioro i zmierzyć się z duchami przeszłości.

Serce pękało mu z bólu.

Minęło piętnaście lat, a wokół praktycznie nic się nie zmieniło. W jasnej poświacie księżyca wspiął się powoli na wzgórze. W oddali słychać było dźwięczną serenadę kojotów. Wiał delikatny, chłodny wiatr, przynosząc zapach oceanu i targając Cooperowi włosy. Pisarz wystawił twarz na bryzę, starając się odzyskać spokojny oddech i uspokoić przyspieszone bicie serca.

Nie chciał wracać do tego miejsca. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie do tego zdolny.

Dotarł na brzeg i wspiął się na skałę, skąd rozciągał się widok na czarną otchłań jeziora skąpaną w księżycowej poświacie. Nagle czas się cofnął. Cooper znów miał szesnaście lat i ruszał z kuzynami na podbój świata.

Gorące słońce paliło mu nagie plecy. Jake głośno przeklinał, ponieważ Mac skoczył dalej

niż on. Sam śmiał się, spoglądając na stoper. Cooper usłyszał własny głos: Dajmy mu jeszcze kilka sekund. Chce pobić rekord Jake'a. Chcę, żeby mu się udało. Nic mu nie jest. Co ty taki strachliwy.

Krzywiąc się z bólu, Cooper spojrział na miejsce, w którym Mac wylądował. Wpatrywał się, jakby przez wodę mógł dostrzec martwe ciało kuzyna leżące na dnie jeziora. Starali się przeprowadzić reanimację, ale było już za późno.

Tamtego popołudnia stracili nie tylko Maca. Utracili też niewinność i wiarę, że są niezwyciężeni.

– Mac? – wyszeptał chrapliwie Cooper. Głos z trudem przeciskał mu się przez krtań. – Jesteś tam jeszcze?

Uderzył go podmuch wiatru, jakby zachęcał do zabawy. W głowie usłyszał śmiech. Śmiech Maca. Odwrócił się i rozejrzał, licząc podświadomie, że ujrzy wysokiego, chudego chłopaka wbiegającego na wzgórze, żeby do niego dołączyć.

Był jednak sam. Ogarnęło go przykre rozczarowanie.

Przypominając sobie wściekle usposobienie zjawy mieszkającej w starym wiktoriańskim domu, zaczął się zastanawiać, czy duch Maca uwięziony jest na dnie jeziora. Może czekał, aż powrócą tu wszyscy kuzyni i... I co?

– Czego mógłby chcieć? Usłyszeć nasze przeprosiny? – spytał wiatru. – Co by to zmieniło?

Na wschodzie niebo zaczęło jaśnieć, przybierając delikatne odcienie fioletu. Powoli świtało. Musiało minąć wiele godzin od jego wyjazdu z rancza. Dziwne, jak długo tu siedł.

Podniósł spojrzenie znad ciemnej toni jeziora i przeniósł wzrok na usiane gwiazdami niebo.

– Przepraszamy, choć wiem, że to nic nie znaczy. Odszedłeś zbyt młodo. Wszyscy bardzo za tobą tęsknimy. – Kręcąc głową, wyznał smutno: – Ciągle powraca do mnie tamten dzień, nieustannie na nowo go przeżywam. Przed oczami pojawiają mi się kolejne sceny, ale zawsze cię ratuję. – Głos mu się załamał. Przeniósł wzrok na jezioro, które zabrało młode życie. – Chcę, żebyś wiedział, że zawsze kiedy śnię ten sen, ratujemy cię. – Z jego gardła wydobył się dławiący śmiech. Przetarł dłońmi twarz. – Oczywiście. .. nie zrobiliśmy tego, kiedy był na to czas. Tak bardzo żałuję, że nie można tego zmienić, że nie możemy przywrócić ci życia. Porozmawiać z tobą. Boże, tak bardzo za tobą tęsknię!

Uderzył w niego odświeżający powiew wiatru. Mimo że w sercu czuł rozdzierający ból, ku własnemu zdziwieniu uśmiechnął się. Czyżby Mac chciał mu w ten sposób przekazać, żeby przestał się zadreć? A może to było tylko jego własne pobożne życzenie?

Jeszcze kilka tygodni temu nie wierzył w duchy. Teraz miał pewność, że po każdym człowieku coś zostaje. Śmierć nie jest końcem. Raczej zakrętem na drodze, za którym nic nie widać, dopóki się go nie minie.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Wierzył, że gdziekolwiek Mac jest, jest szczęśliwy, nie może jednak iść dalej, ponieważ jego bliscy, przeżywając ciągle na nowo tamten tragiczny letni dzień, nie pozwalają mu odejść.

Cooper nigdy nie zaznał tak strasznego bólu jak piętnaście lat temu. Celowo unikał okazji. Nie chciał kochać, chroniąc się przed cierpieniem, ale w ten sposób uciekał również przed radością. Trwał tak od tamtego dnia bezpieczny i bardzo samotny. Mac przeżył więcej przez szesnaście lat niż on przez swoje trzydzieści jeden.

Odizolował się od życia, zadając sobie pokutę za coś, czego nie mógł zmienić. Czuł się winny, że żyje, kiedy Mac umarł.

Wszyscy troje, on Sam i Jake, opłakiwali Maca, każdy na swój sposób. W jednym byli zgodni. Wszyscy unikali wspomnień, trzymali się z dala od tego miejsca. Przecież łączyło ich z Makiem znacznie więcej niż tylko tamta tragedia. Zamiast skupić się na wspaniałych wspomnieniach, wciąż od początku przeżywali wypadek. Jaka szkoda. Godne pożałowania, żeby tylko tak pamiętać kogoś, kogo bardzo kochali.

Zmęczony, oszołomiony kłębiącymi się w jego sercu emocjami, opadł na ziemię, podciągnął pod brodę kolana i objął je ramionami. Lód, który obrósł jego serce, zaczynał powoli topnieć. Chłód uczuć, z którym tak długo żył, z wolna odchodził. Po raz pierwszy od piętnastu lat oddychał spokojnie.

Wyczerpany schodzącym z niego napięciem wyciągnął się na mokrej od rosy trawie i zamknął oczy. Ból i udręka powoli odpływały, pozostawiały tylko wspomnienia dobrych chwil, wszystkich wspaniałych spędzonych razem wakacji, chłopaka, który umarł zbyt młodo, ale swoje dni na ziemi przeżył pełnią życia.

Przed oczami znów ujrzał Maca. Młodego, śmiejącego się, skaczącego radośnie do jeziora.

– Dziękuję – wyszeptał Cooper.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lonergan obudził się. Zmrużył oczy oślepiiony jasnymi promieniami słońca. Przez dłuższą chwilę czuł w głowie kompletny zamęt. Gdzie, u licha, był? Co tu robił?

Jezioro. Usiadł i spojrzął ze skały w ciemnoniebieską toń. Muskające tafle wody światło migotało tysiącem odblasków.

Przetarł oczy, wstał i przeciągnął się, rozciągając obolałe mięśnie. Mało komfortowe miejsce na spędzanie nocy, pomyślał. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że nie spał tak dobrze od piętnastu lat.

Ogarnął go smutek, a raczej słodka tęsknota za czymś, czego od dawna nie doświadczył. Nie było w tym poczucia winy ani bólu wpisanego dotąd w jego życie.

– Kara miała rację – powiedział na głos, po czym zerknął na zegarek.

Musi ją zatrzymać. Wytłumaczyć, że był bardzo pogubiony i że w końcu odnalazł drogę. Zobaczył swoją przyszłość, a w niej ją.

Niespodziewanie, zupełnie jakby Mac stał tuż obok niego, usłyszał jego głos:

– Na co czekasz? Jedź po nią.

Cooper uśmiechnął się i ruszył biegiem w kierunku rancza.

– Dziękuję za podwiezienie – powiedziała Kara, sięgając po leżącą na tylnym siedzeniu walizkę.

– Nie ma sprawy – odparła Maggie, zamykając za nią drzwi samochodu. – Jesteś pewna, że chcesz tu spędzić cały dzień, czekając na samolot?

Kara westchnęła i popatrzyła na otaczający ją tłum pasażerów przepychających się w kolejce do odprawy. Przeniosła wzrok na Maggie. Na jej twarzy malowało się współczucie. Zrobiło jej się miło, a jednocześnie przykro. Gdyby została na ranczu, musiałaby przez cały dzień znosić te żalosne spojrzenia wszystkich członków rodziny: Sama, Jeremiaha i nawet Jake'a. Zawsze była też możliwość, że Cooper wstąpi z wizytą do dziadka. Woli spędzić te kilka godzin na lotnisku niż ryzykować, że go spotka.

– Nie martw się o mnie – zaszczebiotała sztucznie. – Mam dobrą książkę i stertę czasopism.

Maggie pokiwała głową, jakby znała dokładnie myśli Kary.

– No dobrze. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jak tylko wrócę na ranczo, dam Cooperowi kopniaka.

Niespodziewanie do oczu Kary napłynęły łzy.

– Dzięki – uśmiechnęła się, zaciskając usta. Przytuliła Maggie, wzięła walizkę i szybko odeszła, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy zmienić zdanie.

– Kara! – krzyknął Cooper, waląc pięściami w drzwi domku gościnnego. Ponieważ nikt nie otwierał, przedarł się przez gąszcz pelargonii i zajrzał do środka przez okno.

– Kara! Otwórz, do licha, te drzwi! – wrzasnął. – Muszę z tobą porozmawiać. Cisza.

– Co ty wyczyniasz? – zawołał Sam z podwórka.

– Szukam Kary. Gdzie ona jest?

Sam oparł się o drewnianą kolumnę ganku i pociągnął łyk kawy z trzymanej w dłoni filiżanki.

– Uciekła od ciebie.

Cooper wy dostał się z klombu kwiatów, przebiegł podwórze i stanął u stóp schodów przed kuzynem, rzucając mu świdrujące spojrzenie.

– Lepiej się nie wtrącaj – warknął.

– Przecież to ty mnie w to wciągnąłeś, już zapomniałeś? Kto do mnie przyszedł się użalać wczoraj w nocy?

– No tak, ja – przyznał, odgarnął dłonią włosy i opuścił ją bezwładnie. – Ale teraz wszystko jest inaczej. Ja... – przerwał i spytał cicho: – Gdzie ona jest?

– Wyjechała.

– Jak to? – Ogarnęło go uczucie paniki. – Co to ma znaczyć?

– Co to za krzyki? – Z domu wyszedł Jeremiaś i stanął na ganku obok Sama.

– A, to ty.

– To ja – burknął Cooper.

Zza drzwi wyskoczyła Sheba, precyzyjnie się dziadkowi między nogami i rzuciła radośnie na pisarza. Podskakując i szczekając, biegała wesoło wokół niego, prosząc, żeby zwrócił na nią uwagę. Ale on nawet jej nie zauważył.

– Co to jest, żeby człowiek nie mógł się wyspać nawet na wsi – wytoczył się z domu rozżalony Jake. – Lepiej można odpocząć na stacji kolejowej niż tu u was.

– Świetnie! – Cooper zamachał rękami, po czym opuścił je z rezygnacją. – Wszyscy już są? To może teraz dowiem się, gdzie jest Kara – rzucił groźnie do Sama.

– Dlaczego miałbym ci powiedzieć?

Jake wyjął z rąk kuzyna filiżankę z kawą i wypił wielki łyk.

– Hej, zrób sobie swoją!

– Powiedźcie mu i uciszcie tego psa – wymamrotał Jake, ignorując kuzyna.

– Jak zawsze rano nieprzytomny – uśmiechnął się Jeremiaś. – Sheba, spokój! – zawołał.

Szczeniak natychmiast umilkł i przysiadł grzecznie przy nodze Coopera, nie przestając machać ogonem.

– Mów! – zwrócił się do Sama, ignorując pozostałych. – Proszę – dodał łagodnie.

Kuzyn przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę. W końcu pokiwał głową i odebrał Jake'owi filiżankę.

– Maggie zawiozła ją na lotnisko. Pojechały wcześniej, ponieważ nie chciała cię więcej widzieć.

Pisarz skrzywił się, słysząc słowa prawdy, które uderzyły go, jakby dostał w policzek. Był prawdziwym durniem. Pytanie tylko, czy nie jest jeszcze za późno, żeby się zrehabilitować...

– Pożyczam tracka, oddam później – wykrzyknął, kierując się do samochodu.

– Zaczekaj! – zawołał za nim dziadek. – Mam wam coś ważnego do powiedzenia.

– Później – odkrzyknął. Otworzył drzwi, wskoczył do środka i włączył silnik. Przycisnął

pedał gazu i ruszył, wzbijając tuman kurzu. – Ja mam coś znacznie ważniejszego do powiedzenia – mruknął pod nosem. – Oby tylko chciała mnie wysłuchać.

– Tu nie wolno parkować – poinformował strażnik, kiedy Cooper zamykał samochód przed wejściem do hali wylotów.

Nie miał jednak czasu, żeby go przestawić, i nawet się tym nie przejmował. Teraz najważniejsza była dla niego Kara.

– Odholujcie – oznajmił, wbiegając przez automatycznie otwierane drzwi do środka. Trackiem będzie się martwił później. Najwyżej zapłaci mandat.

Teraz musi ją znaleźć.

Omiótł wzrokiem kłębiący się tłum ludzi. Straszny tłok i hałas. Dzieci płakały, rodzice je uspokajali, pod ścianami obściskowały się pary, całując się, jakby za chwilę świat miał się skończyć. Wszędzie plątały się wielkie walizki i torby. Piszczwały kółka ciągniętych po błyszczącej posadzce bagaży. Bezpłciowy głos huczał przez megafon, słowa zlewały się w niewyraźny bełkot.

Cooper przeciskając się przez tłum, błędził wzrokiem po twarzach podróżnych. Jednocześnie szukał na tablicy ogłoszeń numeru terminalu, z którego może odlatywać Kara. Przebiegł przez wąski pasaż, przepychając się wśród podróżnych i mamrocząc pod nosem przeprosiny. Serce waliło mu jak młotem, w umyśle kłębiły się słowa i myśli. Układał jedną przemowę za drugą, każdą kolejno odrzucając. Musiał ją przekonać, sprawić, żeby zrozumiała i uwierzyła mu.

Ale jak?

Tuż przy bramce bezpieczeństwa dostrzegł ją stojącą w kolejce. Była sama. Wpatrywała się w przestrzeń niewidzącymi oczyma.

Na moment serce mu zamarło i z trudem złapał oddech. Jeśli teraz przegra sprawę, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Podbiegł do niej i zaczekał, aż go dostrzeże. W jej spojrzeniu było zdziwienie i cień radości, który prawie natychmiast zniknął przyćmiony wyrazem smutku.

Jej ból nieprzyjemnie ścisnął mu serce.

– Szukałem cię – wysapał obłąkanym głosem.

– Wyjechałam wcześniej, specjalnie, żeby się z tobą nie spotkać.

– Domyśliłem się i rozumiem cię – powiedział, sięgając po jej dłonie i zamykając je w swoich. Przytrzymał mocno, kiedy chciała je wyszarpnąć.

– Proszę, nie. Najpierw mnie wysłuchaj.

W jej oczach zaświtał błysk nadziei, ale w ułamku sekundy zgasł.

– Wszystko już sobie powiedzieliśmy.

– Niezupełnie – zaoponował, rzucając groźne spojrzenie na biznesmena, który próbował wepchnąć się do kolejki.

– No dobrze. Mów, co masz do powiedzenia, i odejdz.

– Byłem durniem.

– Ciekawy początek. – Uniosła brwi.

Uśmiechnął się nieśmiało i ścisnął ją mocniej za rękę.

– To nie wszystko.

– Słucham. – Westchnęła ciężko.

Cooper pokręcił głową, układając w myślach zdania.

– Jestem pisarzem i powinienem być w tym dobry, a nie mogę znaleźć odpowiednich słów teraz, kiedy tak ich potrzebuję.

– Postaraj się. – W jej głosie pojawiła się nutka nadziei, a na ustach zagościł nikły uśmiech.

– Najpierw powiem to, co najważniejsze, a potem wrócę do szczegółów.

Milcząc, skinęła głową.

– Kocham cię.

W oczach Kary pojawiły się łzy i z trudem złapała powietrze. Coopera zalało uczucie paniki.

– Nie płacz, proszę – jęknął rozpaczliwie. – Chcę, żebyś była szczęśliwa, żebyśmy oboje byli szczęśliwi.

– Mów dalej – ponagliła.

– Miałaś rację – oświadczył, dochodząc do wniosku, że każda kobieta lubi to słyszeć, szczególnie jeśli to faktycznie prawda. – Powinienem był powiedzieć ci o Macu. Dawno też powinienem znaleźć sposób, żeby się pogodzić z bólem. Nie zrobiłem tego. Łatwiej mi było chować się przed nim. Przed wszystkim i wszystkimi.

Kara uściśniła jego dłonie w geście wsparcia, a może współczucia.

– Przez tyle lat ukrywałem się przed życiem, że zapomniałem, czym jest radość. W zeszłym tygodniu dopiero ty mi o tym przypomniałaś. Zналиśmy się od kilku lat, ale wcześniej było jakoś inaczej. Dopiero tu, w Coleville, byliśmy naprawdę razem. Rozumiesz?

– Tak, wiem, co masz na myśli.

– To dobrze. – Zamilkł, ciężko oddychając.

Powietrze rozdarł głośny komunikat z megafonu. Podróżni unieśli wyczekująco głowy, starając się zrozumieć jego treść. Kolejka posunęła się o kilka kroków do przodu. Kara i Cooper nie zwrócili na to uwagi.

– Poszedłem wczoraj nad jezioro.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego współczująco i znów w oczach stanęły jej łzy.

– Tak. Rozmawiałem z Makiem. Zrozumiałem jeszcze coś, o czym mi mówiłaś. To nie była nasza wina i Mac nie ma do nas żalu. Chce, żebyśmy byli szczęśliwi – wyznał, wylewając z siebie słowa szczerości. – Myślę, że chciałby, żebyśmy żyli tak jak on, gdyby dano mu szansę. Ja też tego pragnę.

– Cieszę się.

– Świetnie, ponieważ jesteś najważniejszym elementem mojego planu.

– Jak to?

Cooper podniósł jej dłonie i pocałował najpierw jedną, potem drugą.

– To prawda. Kocham cię. Rozumiesz? Teraz przejdę do szczegółów.

– Jak dotąd wszystko, co powiedziałeś, bardzo mi się podobało.

Emocje zaczęły dławić go gardle. Miał wrażenie, że za chwilę się udusi.

– Nie sądziłem, że będę mógł kogoś tak mocno pokochać. Jesteś dla mnie wszystkim. Chcę ci to udowodnić.

– Mówił szybko, bojąc się, że Kara przerwie mu, zanim dokończy. – Nie pozwolę ci odejść bez walki. Jeśli wsiądziesz do tego samolotu, polecę z tobą. Jeśli się przeprowadzisz, pojedę za tobą. Będę cię kochał przez resztę życia, codziennie dając ci dowody mojego uczucia. Daj mi tylko szansę.

Serce Kary przepeliło szczęście. Spełniło się jej największe marzenie. Zajrzała Cooperowi głęboko w oczy i dostrzegła w nich uczucia, których szukała. Ale to jeszcze nie było wszystko. Chciała więcej.

– Ja również cię kocham – wyznała.

– Dzięki Bogu – wyszeptał z ulgą.

– Ale...

– Jest jeszcze jakieś ale?

– Nie wystarczy mi bycie twoją asystentką czy kochanką. Pragnę małżeństwa, dzieci, rodziny.

Pisarz uśmiechnął się tak, że zmiękły pod nią kolana.

– Oczywiście, że weźmiemy ślub. I będziemy mieć gromadkę dzieci.

– Gromadkę?

– W tej kwestii dopuszczam jeszcze negocjacje. I nie będziesz już moją asystentką. Zatrudnimy kogoś.

Kara pokręciła głową i złożyła na jego ustach długi pocałunek.

– Nikt nie zajmie mojego miejsca przy tobie – oświadczyła.

Cooper westchnął i objął ją czule ramieniem.

– No to mamy plan. Chodźmy. Zabieram cię do domu. Mamy wiele do nadrobienia.

– Dopiero teraz mamy plan – zaśmiała się.

Okazało się, że samochód Jeremiaha został odholowany, musieli więc złapać taksówkę. Lonergan zdecydował, że wykupi go... później.

Kiedy zajechali pod dom, Cooper wniósł Karę na rękach na ganek. Zanim zdążył przekręcić klucz w zamku, drzwi same się przed nimi otworzyły, zapraszając do środka. Pisarz mocniej objął ukochaną i ostrożnie przestąpił próg, po czym zdziwiony zatrzymał się w holu. W domu panowało przyjemne ciepło, przez ściany zdawały się przenikać promienie słoneczne, rozświetlając wnętrze nierzeczywistym, przepięknym, złotym blaskiem.

– Posłuchaj – wyszeptała.

Cooper wstrzymał oddech i wyteżył słuch. Po chwili usłyszał sączącą się łagodną muzykę i śmiejącą się wesoło parę młodych ludzi. Nareszcie razem.

EPILOG

Po zapłaceniu grzywny udało się odebrać z policyjnego parkingu samochód dziadka. Bagaż Kary poleciał do Nowego Jorku. Po interwencji linie lotnicze zobowiązały się w przeciągu najbliższych dni odesłać go z powrotem do Coleville. Cooper i Kara z ochotą rozpoczęli pracę nad powoływaniem do życia ich pierwszego dziecka.

Po obiedzie cała rodzina zebrała się przy stole w kuchni, czekając, aż Jeremiaś obwieści im wiadomość, z powodu której zebrał ich wszystkich u siebie w domu.

W końcu wstał i obrzucił uważnym spojrzeniem swoich trzech wnuków.

– Nie umiecie sobie nawet wyobrazić, co znaczy dla starca móc znów zobaczyć was razem. – Uśmiechnął się do Maggie i Kary, po czym dodał: – Jestem naprawdę szczęśliwy, że dołączyliście do naszej rodziny.

Kara sięgnęła po dłoń Coopera, a on mocno ją uściskał i przytrzymał.

– Oprócz tego, że za wami tęskniłem, jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego was tu ściągnąłem.

– Ale nie zaserwujesz nam tu teraz żadnej ze swoich sztuczek? – spytał Jake.

– Nie – odparł dziadek, czerwieniąc się uroczo. W jego oczach zapłonęły iskierki radości i nadziei. – Bóg mi świadkiem, że to, co powiem, to szczerza prawda. Czekałem, żeby wam to powiedzieć, kiedy się wszyscy zbierzecie.

– Wyrzuc to z siebie, dziadku – ponaglił Sam, obejmując ramieniem Maggie.

– Donna Barrett wróciła – oświadczył Jeremiaś.

– Wiem – wyjął Cooper. – Spotkałem ją w sklepie. Przecież wspominałem wam o tym. Więc jeśli to ma być ta rewelacja, to się spóźniłeś.

Starzec posłał wnukowi gniewne spojrzenie.

– To nie wszystko. Nie przyjechała tu sama. Przywiozła ze sobą syna Maca.